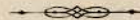


ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

CZŁONEK AKADEMII LUGDUŃSKIEJ,
TOW. PRZYRODNIKÓW ISIS, CENTRALNEGO TOW. ORNITOLOGÓW NIEMIECKICH
I TOW. LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH.



ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.



*J. Elisono knyga
Nr 11*

III.

W. STRZĄB.

WYDANIE DRUGIE POPRAWNE.



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM I CZCIONKAMI Drukarni „CZASU“
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1878.

93698



222653/3

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0134986

W/247/02p 264711

30

Źłutor zapisków ornitologicznych

O BOCIANACH, JASKÓŁKACH, WRÓBLU, KRUKU I KUKUŁCE

TOWARZYSZOM LISOWIECKIM

poświęca.



Is J. Eliasono knygu
Nr. _____

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

JASTRZĄB GOŁĘBIARZ *).

(*Astur palumbarius*. Gołębiotów, kuropatnik, kurołół, kurnik gm.—
Gołubiatnik, Jastreb, Jastrub, Gastrab, słow. — *Der Hühner Habicht*. *L'autour*).

Mężny ptak Jastrząb, kiedy się unosi,
Nie rad, kto go ma, o zwierzynę prosi.
Przyjąwszy k'sobie krogulaszka brata,
Jedź w pole z wiosny, w jesieni, wśród lata **).

Myśliwstwo ptasze z XVI wieku.

Jastrząb gołębiarz ma silne nogi, twarde pierze,
długość 1'11", szerokość 3"6" do 7", ogon 8" do 9",

*) Od czasów Lineusza do naszych czasów, jastrząb był prze-
rzućany z rodzaju w rodzaj, z grupy w grupę, ilość nazw dla niego
zapełniłaby niejedną stronicę książki; przyczyny tego szukać musi-
my w odmiennych barwach jego, do siebie zupełnie niepodobnych.
I nasi poprzednicy zmiennymi nazwami opatrzonego ptaka dokładnie
nie określali; był on często sokołem lub krogulcem, rabcem; Ro-
syjanie do naszych czasów nazywali zupełnie wykształconego ptaka
Jastreb, a młodego Riabad. A gdy to jest szkodnik pierwszego rzę-
du, wypada każdemu poznać dokładnie ptaka, wyrządzającego go-
spodyniom i myśliwym niepospolite szkody w drobiu i zwierzynie.

**) Sokolnicy częstokroć układali do pomocy jastrzębia w ło-

dziób 1"9"m długi, a 10"m wysoki, przy nasadzie niebieskawym, z końcem czarnym, średni palec 2", szpon 9", ksiuk 1"6"m, woskówka żółta. Głowa nieco spłaszczona, skrzydła krótkie nie nakrywające ogona, ogon długi zaokrąglony, nad oczami białawy pasek. Nogi silne, szpony mocno zaokrąglone i nader szpiczaste, ponad kolanem ma opierzone, dalej zaś ku szponom gołe nogi. Dziób silny, zaokrąglony, bez zęba sokołego, z ostremi szczękami, mocno zakrzywiony, z końcem szpiczastym, mierzony w kabłąk 1 1/2", czarny, przy nasadzie niebieskawym.

W gniazdowej barwie okryty perłowo popielatym mchem, wcale nie miękkim, jak u innych drapieżnych, dziób czarny przy nasadzie cielistego koloru, nogi brudno-żółtawo-zielonawego koloru *).

W pierwszym pierzu nazywali go łowcy Rabcem (rabiego pierza **) i nosi tę barwę rok przeszło, pierząc

wach, krogulca, *Falco nisus*, jako lekkiego, zwinnego ptaka, z lotem szybkości błyskawicy, a chociaż o wiele słabszych sił, wszakże z odwagą i natarczywością niepospolitą. Krogulec ofierze łowów załatywał z przodu, dręczył, zatrzymywał i ułatwiał pracę Gołębiarzowi, szczególnie przy cięższej zwierzynie, jak dropie, żurawie, gęsi i t. d. Dobierano samice, ponieważ są to ptaki większe, silniejsze, odważniejsze i z instynktu drapieżniejsze. Opatrzność podwoiła siłę samic, aby mogły dostarczać odpowiedniego pożywienia piskletom. Krogulec był nieodstępnym adjutantem łowczego Gołębiarza.

*) Te ptaki nazywali myśliwi gniazdowcami, wybierali je z gniazd, wykarmiali i układali do łowów, lecz to były zawsze łowcze ptaki bez odwagi natarczywej, impetyczności, sprytu i zęczności, niewprawione do drapieżności; z tej przyczyny miały mniejszą wartość u Sokolników. Szczegółowe opisanie gniazdowników znaleźć czytelnik w sokolnictwie przeze mnie napisaném, Warszawa 1858 r.

**) Rabiec był najwięcej rozpowszechnionym u nas łowczym

się stopniowo, lecz nader powoli. Płaszcz ma brunatno rdzawy z jasnymi obwódkami piór, na ogonie pięć brunatnych i tyleż płowych pręg, końcówki sterówki białawe, gardziel biaława, brunatno upstrzona, spód cały rdzawo żółty z pęczkowatymi brunatnymi plamkami, nad oczami pasek jaśniejszego koloru, nogi i woskówka żółte.

Ptak w doskonałym pierzu: płaszcz ma niebieskawo-popielaty z cieniami czarnobrunatnymi tegosamego koloru, puder na całej powierzchni, który po śmierci znika. Spód ptaka biały, pręgowany czarniawym kolorem w różne i dziwaczne plamki w poprzek, wokół szyi pstrokaczna biała z czarném, tworząca obróż, nad

ptakiem i nader poszukiwanym. Zostawiano gniazdownika w gnieździe do zupełnego wypierzenia, do tej chwili, w której umiał już sam obskubywać i rozszarpywać ptaki przez rodziców przynieszone, mózg z czaszek wyjmować i t. d. Nazwę nosił gałęźnika z powodu, że już w gnieździe siedzieć nie chciał i przesiadywał na gałęziach otaczających gniazdo. Uchwycenie gałęźnika było trudne i zaiste zadanie sokolnika było niepospolite. Najpierw musiał ostrożnie szpiegować gniazdowników, aby się rodzice nie spostrzegli i nie przenieśli piskląt do sąsiedniego lasu na obce gniazdo; po drugie musiał badać porost pierza stopniowy i wykształcenie ptaka a nakoniec złowić bez uszkodzenia mądre i ostrożne jastrzębie, na co częstokroć wystarczyło ledwie 24 godzin. Sokolnik najczęściej w nocy ostrożnie wlaźł na drzewo, siatką lub rękami łapał te ptaki, lub też w bliskości z ponętą nastawiał sieć lub samotrzask, kusząc żywym gołębiem lub białą kurą rabców. W tym samym stosunku, jak gniazdownik był nieużyteczny dla braku wykształcenia myśliwskiego, tak też i stary jastrząb, najczęściej nie dawał się ułożyć, przyswoić, zachowując swą dzikość i miłość niepodległości. Ptak doskonały, pomimo najpokuśniejszych przysmaczków, częstokroć z głodu ginął, nie mogąc znieść niewoli.

oczami biały pasek. Dziób czarny, woskówka żółta, nogi jasno-żółte, tęczą pomarańczowa, w ognisty kolor wpadająca.

Samice w każdym pierzu są większych rozmiarów, szersze, silniejsze, wspomnianego powyż pudru nie posiadają. Porównawczo, mając ptaki obojga płci, można oznaczyć płć, lecz są tak podobne, że i biegły badacz nie rozróżni samca od samicy, gdy posiada tylko pojedyncze okazy. Jego rozum i ostrożność, pamięć i rozważa, ratują mu życie i przechowują ród, a inne drapieżne, a nieszkodliwe ludziom ptaki giną za niego. Nie ma dosyć wysokiej nagrody za zabicie jastrzębia, lecz gołębiarza, a nie innego; tymczasem większa część miłośników myślistwa płaci za szpony nieszkodliwych ptaków, okazywane przez strzelców, a te należały do sokolików, pszczołojadów, myszołowców, sów, puchaczy i t. d. Każdy mieszkający na wsi winien dla swego własnego pożytku poznać barwę, zbadać lot, zwyczaje i naturę jastrzębia, aby był w stanie prześladować tego szkodnika, z żadnym innym nie do porównania; niebadacz, niemyśliwy nawet nie uwierzy, co para jastrzębi, w szczególności w czasie lęgu za szkody w drobiu i zwierzy nie zdziałać może. W kraju i zagranicą widziałem ciekawe nadużycia, popełniane przez strzelców i niedojrzałych myśliwych zabijaniem tak nazwanych jastrzębi, które niemi nie były — i tak np. jest mniemanie rozpowszechnione, że nad puchaczem najłatwiej strzelać jastrzębie. Giną krocie wron, srok i myszołowów, lecz gołębiarz za rozumny, aby w tej zasadzce miał ginąć; zarówno innym ptakom nienawidzi puchacza i na wol-

ności go prześladowuje, lecz przy budzie ze strzelcem, a z puchaczem na łańcuszku, mądry ptak zatrzepocze przez krótką chwilę, okrąży puchacza i ucieka spostrzegłszy, że tu niebezpieczeństwo grozi, rzadko kiedy na drzewie usiedzie. Wypadek to, gdy się z budy uda zabić tego szkodnika: tylokrotnie siedziałem przy puchaczu, widywałem jastrzębie, że tak powiem miejscowe i na ciągu, nigdy żadnego nie zastrzeliłem. Młode rabce, nie posiadające doświadczenia doskonałych ptaków, są mniej ostrożne, ciekawsze, a równo starym nienawidzą puchaczy, one się też dłużej zatrzymują, trzepocząc nad puchaczem, a niekiedy siadają i wlepiają wzrok w oczy nocnego ptaka. Lecz i rabiec postrzelony, chybiony, lub taki, który postrzegł w budzie strzelca, już pewnie drugi raz nie przyleci. Ostrożność, rozum i przenikliwość jego tak wielkie, że gdy powtórnie okrąży puchacza i dokładnie rozpozna tę zasadzkę, już nawet nie powróci z ciekawości, jak inne ptaki; nawet przeniesienie budki w dalsze miejsce, nic nie pomoże, on już wie co się święci i nie da się oszukać. Mieszkając w Brzeżańskim cyrkule, przenosiłem puchacza na różne miejsca, mając na oku parę gołębiarzy rzadkiej odwagi i szczególnej żarłoczności, które mi wielkie szkody wyrządzały codziennie, niemal o tychsamych godzinach brały mi na podwórzu gołębie wobec mnie i puchacza, a nad budę nie nadleciały nigdy.

Badając życie tego ciekawego ptaka, można mu go dło wyryć, że podstawą jego rodu, jest: siła przed prawem. Istny to rabuś, rozbójnik, złodziej, szkodnik, prześladowca i aneksista; on panem wszystkiego, swe po-

trzeby zaspokoić musi cudzym kosztem, rozum jego niepospolity, a nieporównana ostrożność ocala mu życie i bezkarnie broić pozwala. Przypomina średniowiecznych trudniących się rabunkiem rycerzy (*Raubritter*), zamieszkujących małe zamkowe forteczki (*Burgi*), których szczątki napotykamy po wszystkich krajach Europy: oni to żyli z rabunku w bliższych i dalszych okolicach, stając się rzeczywistą plagą, nie cierpieli drugiego obok siebie i nie spoczęli do téj chwili, w której współzawodnika nie wypędzili lub na tamten świat nie wyprowadzili. Nasz jastrząb zupełny rycerz średniowieczny: nie zniesie równego sobie w swém państwie zdobytém, nawet z narażeniem życia, częstokroć przez kilka i kilkanaście dni walkę toczy z drugim i albo zginie, albo napastnika wygoni lub ubije; zdawałoby się, że ustanowił prawo panowania siłą despotyczną, nie dzieląc się władzą z nikim, ani téż przypuszczając kogobądź do swéj spółki.

On z rodziną panuje nad pewną przestrzenią kraju, broni ję przed napadami, zwiedza rejon swój systematycznie, oblatuje codziennie granice, jest w pełni panującym i biada temu, któryby się pokusił wstąpić do jego państwa. Żonę ma zawsze w bliskości, dzieci do swego rzemiosła starannie, zręcznie i spiesźnie wychowuje, znosi je koło siebie do pory jesiennéj, gdy się zaś przekonał, że dzieci już wykształcone na znakomitych rozbójników i zręcznych złodziei, wygania ze swego państwa i nakazuje zdobycie siłą i zręcznością panowania w dalszych stronach; ani prośby, ani pieśczoły, ni lamenta i skargi na żelaznego ptaka nie wpływają,

jego wola musi być wypełniona i dziatwa w rozpaczy, leci zdobywać nieznane kraje, lecz co boleśnieszem być musi, że do ojczyzny już ję wrócić nie wolno, bo to seperacya na zawsze. Ten dramat odgrywa się przy końcu Października lub w Listopadzie i już w zimie spostrzegamy jedynie pojedyncze ptaki, gdyż po wypełnieniu obowiązków rodzicielskich, mąż z żoną się rozłączają, żyjąc w odosobnieniu i samotności do godowéj pory wiosennéj. W rewirze gołębiarza oboje zostają, lecz nigdy nie przebywają razem, czy zaś czasem zlatują się pogaworzyć i projekcik jaki razem ułożyć, wiedzieć nie mogę, lecz powątpiewam, a to z powodu, że razem dwóch doskonałych ptaków w późnéj jesieni i w zimie nigdy nie spostrzegłem.

Rozbójnik ten występuje, że tak powiem, w różnych charakterach: najczęściej z podniesioną przyłbicą, w zbroi, z natarczywym impetem porywa ofiarę; to znowu jak złodziej chyłkiem się podkłada, czatuje, zasiada w ukryciu, zręcznością i cierpliwością celu swego dopina, a nakoniec powiedziałbym, maskowany łatwowiernych łowi. Napuszy pierze, siedzie na nogach, gdyby kwoka, szyję skurczy, przytuli się do gałęzi, poddasza, komina, wytrzymuje szpiegostwo, natarczywość ciekawych ptasząt bez ruchu i niecierpliwości, udaje bezwładnego, lub naśladuje sowę śpiącą w dzień z przymróżonemi oczyma. Dopiero, gdy wybrana ofiara się zbliży, lub z nim oswoi, gdy już nie zwraca żadnéj uwagi ptastwa na siebie, wtedy szybkością błyskawicy uderza, porywa ofiarę i znika z nią wobec steroryzowanych i oszukanych świadków. Od średnich wieków

ze swymi błyszczącymi rabusiami, do naszych czasów, jastrzębie gołębiarze towarzyszą historii i każdy z nas znał ich wielu w ludzkim ciele, którym i ptak zrzęcnosci i potworności w postępkach pozazdrościłby. Ludzie z naturą jastrzębia, o tyle są niebezpieczniejsi, że gdy ptak sam i bez pomocy szkody wyrządza, tamci się kójarzą, w towarzystwa zbijają i wspólnymi siłami ofiary pochłaniają; w nich przewrotność i zrzęcnosc wykształciła ostrożność i przebiegłość prawem niedosięgnięta, częstokroć, tak jak gołębiarz pod błękitnem sklepieniem niedosięgnięty, tak oni na wysokiem stanowisku bezkarnie broją. Przytoczę przysłane mi wiersze przez harmonijnego naszego piewcę, hrabiego Leopolda Starzeńskiego, zastosowane do naszych jastrzębi ludzkich zasługujących na rozgłos:

Piszesz, że w twoich stronach w modzie rabowanie,
A ja się tylko dziwić muszę niesłychanie,
Że na to obywatel żali się lojalny,
Wszak tu od wieku blisko, rozbój — stan normalny;
Jednego tylko owym rabusiom nie chwale,
Iż wiodą swe rzemiosło na zbyt małą skalę.
Bo tylko taki złodziej jest czczony, chwalony,
Co to umie bezkarnie kraść krocie, miliony,
A rabuś w Europie nawet imponuje,
Skoro całe narody grabi i rabuje.
Owym mniejszym złodziejom odetchnąć nie dadzą,
Żandarmi ich połapią i do kozy wsadzą,
Bo oni nie zaznają żadnej praw opieki,
Bez korony na głowie — a pod pachą teki;
Neczeporowicz zwykłym rabusiem zostanie,
Bo nakładać podatków na nas nie był w stanie,

i t. d.

Pragnę podać środki niszczenia gołębiarzy-ptaków, nie mogąc podać środków do tępienia gołębiarzy-ludzi, aby ten szkodliwy i niebezpieczny ród nie rozmnażał się w świecie ptasim; pragnę mieć argumentacyjną wymowę, blask prawdy w dowodach, pragnę wzbudzić zaufanie do mego długoletniego badawczego doświadczenia, aby je prześladowano i tępiono, a gdy to życzenie będzie w części spełnionem, rozmnażać się będzie swobodnie drób i zwierzyna. Lecz na jastrzębie ludzkie zdaje się, że premij i nagród nie przeznaczono, prawo na nich jednym tylko okiem patrzy, nawet prokurator spogląda z obojętnością i apatyą na zrządzone szkody. Może być, że większa ich część maskowana, postać ich nie do rozpoznania, więc krocie ofiar bezkarnie łowią, a sprawiedliwość ich nie dosięga. Z każdym rokiem te drapieżne istoty mnożą się wśród naszego społeczeństwa z pejsami i bez pejsów, niebawem świat cały steroryzowany zostanie, uczciwość nazwą przesądem, prawość dziecinną mrzonką, zrzęcnosc i przebiegłość będzie podstawą korzystnego zawodu, wyzyskiwanie i eksploatacja zadaniem. Pracę usunie spekulacja, zarobku dostarczą operacje finansowe, których pole niema dziś granic, jak firmament; tam bujać może przebiegły jastrząb, byle siły jego były odpowiednie potrzebom, a liczba łatwowiernych pozostała równie znaczną, jak dotąd. Nie wyliczając rabunków popełnionych za naszego życia na krajach i narodach, na kościołach, klasztorach i dobroczynnych instytucjach, schodzimy po szczeblu stopniowo w nasze społeczeństwo i z przestrachem spostrzegamy rozmnożenie się drapieżnych ludzkich jastrzębi. Uczciwość i pra-

wość, jak skromne dziewice, ze wstydu zakrywają sobie oczy i ustępują z widowni. Nietylko pojedynczo broją te drapieżne ptaki, lecz się stowarzyszają i wspólnymi siłami, gromadnie biją na ofiary. Rządy, jak gdyby w porozumieniu, dopomagają téj dawniej nieznanéj drapieżności, ułatwiają zagładę ofiar. Zniosły lichwę i małych oddały na pastwę lichwiarzom, weksle wcisnęły w ręce ciemnych ludzi: istne to samostrzały zabijające nieświadomych, krocie ciężko zarobionych pieniędzy porywane bywają nieuczciwością, zdradą i podstępem, a najczęściej winowajców nie dosięga kara. Od lat kilkunastu defraudacye, kradzieże i sprzeniewierzenia są tak pospolitemi, że niema numeru gazety bez cytacyi podobnych faktów; czasem pojąć trudno, jak się utrzymują finansowe instytucye przy wzrastającej nieuczciwości. Dawnemi czasy bywały kradzieże, lecz skromne i na małą skalę, jak to mówią, można je było znosić; dziś przybierają zatrważające rozmiary i nie słyszymy o mniejszych kradzieżach jak sum, które dawniej dostateczny majątek rodziny stanowiły.

Prześladowano i niemal wytępiono korsarzy na morzu, a teraz dozwolono korsarzom zorganizować się na stałym lądzie. Bo cóż innego są te banki bez rzeczywistego kapitału, te akcyjne towarzystwa wyzyskujące łatwowiernych, te loterye przynoszące wyłącznie zyski założycielom, te stowarzyszenia pochłaniające prace drugich, bez zwrotu? — czy-to nie nowocześni korsarze, rozbijający bezkarnie w naszym świecie prawdy, postępu i cywilizacyi? Zdawałoby się, że jak ongi za Napoleona I. dostawali korsarze morscy karty bezpieczeństwa



ułatwiające rozbój, tak dziś koncesye legalne pozwalają korsarzom lądowym prowadzić swe rzemiosło na największą skalę bez kontroli, dozoru i opieki. Rzeczywiście zachodzi ogromna różnica pomiędzy jastrzębiami z pierzem a bez pierza: jedne same szkody wyrządzają, rabują jedynie, aby potrzeby swe i rodziny zaspokoić, nie cierpią współników, nie znoszą obcej pomocy, same broją i témsamém wyrządzają szkody mniejsze, trafiające pojedyncze istoty; drugie nieufne w własne siły, gromadzą się i wspólnie uderzają na ofiary, potrzeby ich nieokreślone, chciwość niczém niezaspokojona, kłeski, jakie sprowadzają, nie mogą być przewidziane ani téż wstrzymane, zakres działania nienaznaczony, piją krew, dopóki ofiary ją posiadają lub téż do chwili, w której utoną sami w krwi niewinnych, błotem swém zamaconej.

Przyrody nauka przynosi błogie skutki przy badaniu głębszém, uczy stosować do ludzkości równowagę, jako podstawę jedności i harmonii, lecz i ona ma cień i światło; biada nam, gdy jéj cieniem nakreślonym wszechmocną i dobroczynną ręką, pragniemy zasłonić ludzkość, a światłości przystępu nie dajemy. W przyrodzie z podziwienią godnym porządkiem i zachwycającą dokładnością funkcjonuje ta olbrzymia maszyna, niedozwalająca nawet najmniejszemu kółku odpoczywać na chwilę. Tam jedne żyją drugimi w miarę rozmnażania, gdyż niszczenie częściowe do równowagi potrzebne, w miarę prześladowania uczucie słabnie, myśl i pojęcie gaśnie, śmierć zaskakuje bez zatrwożenia wiedzy i poczucia, koniec życia nagły, myślę bez boleści

i trwogi, walka chwilowa jest cierpieniem, zgon piorunowej szybkości, a za nim nic nie pozostaje, ani pamiętać, ani żal, ni tęsknota, ani łza, ni żałoba. Tych prawideł równowagi przez niszczenie ludzkości zalecać nie możemy, gdyż dla wszystkich Stwórcy miejsce przeznaczył, jako dla swych oblubieńców; wszyscy się umieścić mogą, byle chcieli i umieli szukać miejsca, nie gnębiąc drugiego; ogniwo odwieczne, łączące ludzi, miękkie gdyby puch łabędzi, barwiste gdyby wianek różnokolorowych kwiatów, wonne gdyby z fiołków, ciepłe gdyby splecione z promieni słońca, ogniwo miłości chrześcijańskiej, ono udziela pomocy i opieki, zabezpiecza byt, prowadzi do przyszłości chrześcijańskiej. Czy wcześniej, czy później, na tę błogosławioną drogę Stwórcy ludzkość skieruje, a jastrzębie w ludzkiem ciele, czy koronowane, czy z tekami, czy z wiedzą czerpaną w złych i nieczystych źródłach, czy z ogładą i błyskotkami wyższego świata, czy nareszcie z talentami, bystrością umysłu i przenikliwością, ścigane i nękanie z widowni świata ustąpić będą musiały. Żyjątko w przyrodzie ma kres życia ściśle oznaczony, człowiek zaś w swą nieśmiertelności miłością bliźniego dobijać się ma chwały, nagrody i pokoju!

Ludzkość nauczyła się od żab pływać, od ptaków morskich budować statki, od mew sporządzać żagle, od bobrów architektury, od mrówek pracy, od pszczół zabezpieczenia przyszłości i t. d. Przyroda zaszczerpiła pojęcie piękności, ujęła harmonię, zestawienie kolorów, uczyła poznać pożytek i szkodę, uczyła korzystać z darów Opatrzności. Zaiste, gdy dzieła ludzkie wzbudzają

w nas podziwienie, dzieło Stwórcy w zachwyt nas zawsze wprowadza. Lecz i przyroda posiada swych niszczycieli, częstokroć naszych wrogów, aby się więc od tychże obronić, wypada ich dokładnie poznać i odszukać środki ku własnej obronie, gdyż zawsze przy truciznie w przyrodzie, znajduje się gojący balsam. Z każdym rokiem badawcza nauka zdobywa nowe skarby w niezgłębionym skarbcu przyrody i to we wszystkich jej działach. Za naszego życia, ileżto odkryto pożytecznych roślin, owadów, zwierząt i części nieznanych ziem, ileż szkodliwych i niszczących stworzeń wskazała badaczom, ileż środków do zabezpieczenia się przeciw szkodzie; a o wyczerpaniu tego skarbcza jeszcze mowy być nie może, bo lata miną, wieki świat przeżyje, a przyroda dobroczynna uposażać dalej będzie ludzkość, byle umiała ona korzystać, rozeznawać dobro od złego i nie naruszać odwiecznej równowagi swą wzrastającą zuchwałością i zarozumiałością w potęgę rozumu. Już wiele szkód zrządziliśmy i ani nam w głowie na tej drodze powstrzymać nasze zapędy. Ogołociliśmy z drzew olbrzymie szczyty gór, zaostrzyli klimat, ułatwili powodzie; wysypaliśmy wzdłuż krajów nasypy i tamy wstrzymujące odpływ wody, w skutku zalewamy przestrzenie ongi nieznające nowoczesnych potopów, osuszyliśmy znaczne przestrzenie odprowadzając wody i znaczne szkody nieustającami posuchami zrządzamy. Niszczymy, gdyby igrające dzieci, owadożerne ptaki i mnożymy szkodliwe owady w nieśkończoność. Tępimy w naszym kraju zwierzyinę stworzoną na pożytek człowieka z lekkomyślnością pustoty — i śmiało wyrzec musimy, żeśmy dzieło zniszczenia do-

konali w części w wytępieniu niektórych gatunków, jak bobrów, jeleni, łosiów, kozic i t. d.; dozwalamy szkodnikom rozmnożenia — i nawet sejm galicyjski wyrzekła usunięciem premii za uбиcie drapieżnych zwierząt: *niech się mnożą wrogi produkcyi krajowej!* We Francyi w naszych czasach, zanim z fali w falę rewolucyjną wpadła, zanim rozkład nastąpił w narodzie, a niemoc objęła rząd, dobroczynna opieka władzy panowała nad produkcją. Niebawem niszczenie ptaków i kretów spowodowało rozmnożenie robactwa i dziś w tym bogatym kraju postrzegamy klęski dawniej nieznane.

Rządy na utrzymanie wznrastających olbrzymich armij obciążają pracowników coraz większymi podatkami, nie bacząc bynajmniej o chronienie ich od szkód. Zdawałoby się, że w rządzie ześrodkować się powinien rozum narodu, wiedza i nauka, opieka i pomoc, aby pracownicy dostarczać mogli do ogólnego skarbu potrzebnych funduszy. Dzieje się wszakże przeciwnie. Tu i owdzie, naksztalt spadającej gwiazdy, rzuci władza dobroczynne rozporządzenie, lecz ono zaraz gaśnie w niewykonalności, zło się mnoży a dobro się usuwa. Objętność i brak wiedzy w rządach, formalność biurokratyczna nieuków i niechęć w wykonywujących władzach: oto, co hamuje produkcję. Po dziewiętnastu wiekach pracy i badania, rządy nie umieją usuwać z przyrody, co ludzkości szkodliwem, nie umieją i nie chcą opiekować się pożytkiem!

Jastrząb-gołębiarz nauczył ludzi drapieżności bezwzględnej, z odsunięciem wszelkiego uczucia, nauczył żyć pracą i życiem bliźniego, nauczył podstęp i zdrady,

przebiegłości i tajemniczego życia bezkarnych zbrodniarzy, nauczył i bezczelności w zbrodni. Jego-to przykład przodkuje w hierarchii społecznej, zaszczerpiony na rządach, wkłada się we wszystkie warstwy społeczeństwa, w sądy i administracyę; gdyby rak toczył zaczyna naród, stopniowo oswobadzany od pętów zasad, obowiązków i wiary.

Jastrząb łądzi swe ofiary w locie, na ziemi, w lesie i krzakach, wśród domów i strzech, na polu i łąkach, trudno miejsca wynaleźć bezpiecznego od tego napastnika. Wybiera gołębie z gołębnika, kury z kojców, porywa gąsienice wśród wsi i wobec dzieci, towarzyszy myśliwym na łowach, korzystając ze spłoszonych ptaków lecących w jego stronę. Namiętny to myśliwy w każdej porze roku; widywałem go tylokrotnie w lesie na błotnych i polnych polowaniach, na słomkach i zającach, jak gdyby sobie wyrozumował, że uczestniczyć powinien przy łowach naszych, ułatwiających mu zdobycz. Podziwienią godny jego przebiegły rozum i ostrożność, poluje z nami tak długo, dopóki nie zaspokoii swego głodu, a trzyma się w bezpiecznym oddaleniu, a nawet częstokroć nie polując już dla siebie, nie porzuca polowania i lata za myśliwym siadając na obserwacyjnym drzewie, na większej bryle, na kamieniu lub wyższej miedzy. Jak jenerał rekognoskuje i zdaje się, że w pamięci notuje, gdzie jakie ptaki zapadły lub postrzelone spoczęły, aby mieć jutro zabezpieczone.

Nieskończona ilość mych notatek o pojedynczych tych zbrodniarzach spisanych po spełnieniu zbrodni, dowodzi wysokiego stopnia biegłości, rozumu, podstęp,

impetyczności i odwagi tego ptaka. Nie mam zamiaru przepisywać ich wszystkich, szanując cierpliwość czytelników niebadaczy i niemyśliwych, wszakże jako uzupełniające rysy tego rabusia, muszę tu kilka zdarzeń opisać, o ile mi się zdaje wzbudzających rozciekawienie i podziwienie.

Byłem i jestem miłośnikiem chowu oswojonych gołębi, towarzyszyły mi te lube i czułe ptaki zawsze w życiu, rozweselając podwórze i obejście wiejskie. Jastrząb był rzeczywistym tępicielem moich oswojonych ptaków przez lat trzydzieści, więc miałem pole do badania i poznania rabusia. Wprawdzie wyuczał rozumu i ostrożności każdą generację wychowanych gołębi, lecz kosztem dziesiątkowania stada. Zasadzki, podkradania się, nstawianie sieci i samotrzasków, żelaznych szpisów z powieszonym żywym gołębiem, nagrody i premie wyznaczane, wszystko to umiał jastrząb ominąć i ledwie setnego gołębia życiem przypłacał, biorąc mi najrzadsze i zagraniczne ptaki; w szczególności łowił gołębie pawiały, pływające w powietrzu ze swym daszkowatym, rozłożonym ogonem, do tego stopnia, że bywały lata, w których mi większą ich część wyłowił. Zawziął się na ten gatunek i dopóki pawiały nie pojęły, że w locie niema ratunku i że jedyna ucieczka bezpieczna jest pod dachem lub w gołębniku, dopóty je podpędzał pod obłoki, łowił i z ofiarą odlatywał.

Czasem pod obłokami stoi i trzepocze tak wysoko, że się wydaje wielkości krogulca, gdy upatrzy chwilę stosowną, z pod nieba gdyby piorun uderza w wybranego gołębia. To znowu leci ponad ziemię pływającym

lotem, a wznosi się szybko, gdy spłoszone gołębie ucieczką się ratują i w oderwanego od stada wbija swe szpony. Najczęściej, jak włoski morderca chyłkiem się wkrada w gęstą liściastą koronę drzewa i przytulony do gałęzi bada igrające gołębie, — jak tylko ruszą w powietrze, on nakształt korsarza z za skały, wylatuje ze swój kryjówek i uderza na gołębia. Czasem według miejscowości i stopnia bezpieczeństwa przez rabusia określonego, siada na gałąź nader blisko gołębi, to znowu niedowierzając na oddalonem drzewie usiedzie w obserwacji, lecz impet i szybkość jego lotu jest tak wielka, że w mgnieniu oka przeleci przestrzeń kilkaset kroków; a co rzeczywiście jest podziwienia godnem, to ta niepojęta siła jego muskularna, że chwyciwszy ofiarę lub napotkawszy na przeszkodę w locie, szybkością błyskawicy, wydając szelest wichru, staje wryty w powietrzu, nawraca i ucieka równie szybko. Kto tej natarczywości nie badał kilkakrotnie, ten nie uwierzy, że najrzęczniejszy strzelec nie będzie miał wtedy czasu złożyć się i celnie do niego strzelić. Gołębiarz pedantycznie uregulowany w życiu, systematycznie swe czynności rozłożył na dzień cały, zupełnie jak biurokrata: on jednostajnie zawsze w tychsamych rewirach poluje, o tychsamych godzinach przylatuje, jeżeli go nie spłoszono lub nie postrzelono, gdyż wtedy obiera sobie inne godziny i pilnuje tychże wiernie, siada na tychsamych drzewach i przedmiotach, nocuje zawsze na tychsamych gałęziach. Nauczywszy się więc tego ptaka, jeżeli tak powiedzieć można, zdawałoby się, że łatwo go ubić, tymczasem on wobec nabitęj broni i czatują-



cych ludzi w ukryciu, oszukuje nas, przylatując niespodzianie, bezkarnie broi. Straszny to szkodnik w czasie żywienia podrastających piskląt, wtedy podwaja się jego odwaga i natarczywość, gdyż to nielada zadanie wyżywić czworo drapieżnych a nienasyconych ptasich Neronów, domagających się łupu ustawicznem żalosnem kwilem. Równie niebezpieczny, gdy młode latające Rabce do łowów wprawia, przodkując odwagą, przebiegłością i zręcznością, przykładem do naśladowania zachęca. Mam dzień 20 Sierpnia 1870 r. zanotowany, w którym tensam jastrzęb doskonały ze swym Rabcem, siedm razy atakował gołębie moje, siedm razy do obydwóch strzelano, lotki miały przestrzelone, a one zuchwale gdyby żołnierz na bagnety szedł ku odtylecownikom. Młody, zuchwałość za ósmym strzałem przeplacił życiem, drugi nieustraszony, łowił dalej moje gołębie na témsamem podwórzu. Samica większa i silniejsza, a z uczuciem wykształconem macierzyńskości bez porównania więcej szkody zdziaływała, niżeli samiec lekki i zwinny, ona też łatwiejsza do ubicia, nie mogąc zwrotów odbywać z tąsamą szybkością jak jój małżonek. Zniesienie wychowane, składające się z sześciu ptaków, nieobliczone ofiary porywa. Licząc tylko na jednego ptaka dwa gołębie, kurczęta, gąsięta lub kuropatwy na dzień, można sobie wystawić, ile łupów zdobyć musi ta żarłoczna rodzina, aby głód zaspokoić. Dobroczynna przyroda w swój organizacyi zniewala rodziców do rozpędzenia pod jesień na cztery wiatry dzieci, do szukania żeru poza ich rewirem, gdyby bowiem wszyst-

kie wychowane ptaki w okolicy pozostawały, trudnoby było uchować drób i zwierzyngę.

Jastrzęb jest podług okoliczności i usposobienia, napastniczy rycerz lub nikczemny złodziej, często zaś najprzebieglejszy dyplomata. W roku 1853 zajmował mnie jastrzęb gniezdzący się o pół mili odległości od mego domu, a pomimo, że dziesiątkował drób i gołębie, pomimo, że go miałem na strzał, szanowałem jego życie, badając ten wyrafinowany rozum, przebiegłość i zręczność. Od samiej wiosny codziennie rabował mi folwark, z początku z żoną, później sam; zdaje się, że to był samiec, a ona wtedy na jajach siedziała. Ustawicznymi napadami do tego stopnia wyćwiczył ostrożność drobiu i gołębi, że one wartę stawiały, rzadko kiedy z kryjówek wychodziły i szczęśliwie chroniły się przed napadami. Zmysłny ptak wpada na koncept udawania sowy w celu oszukania ofiar późniejszych. Jak przylatywał tego powiedzieć nie mogę, gdyż pomimo, że prawie zawsze byłem na mém obserwacyjnem stanowisku przed południem pomiędzy 10 a 1 godziną, nigdy jego przybycia postrzedz nie mogłem, zjawiał się jak *Deus ex machina*. Siedział on na strzesze pod strychowem oknem, pierzem pokrywał nogi, na nich siadał, szyję chował, dziób z głową na piersi spuszczał, ogon poziomo na dach kładł i godzinami zupełnie nieruchomy spoczywał. Było to coś szarego na szarym dachu, niby sowa, niby stercząca część strzechy, wszyscy go widywali i niepospolicie się dziwowali, dlaczego szkodnika nie ubijam? Najpierw ciekawe z natury wróble przybywały, siadały opodal, nadskakiwały i przy-

blizały się, później parka znajomych mi szarych pliszek trzęsąc ogonkami biegała niedaleko jastrzębia, nawet ostrożna wrona kracząc na szczycie dachu, nie poznała swego zaciętego wroga. Niebawem i gołębie złudzone przedłużoną kontumacją obejrzawszy się po widnokregu, leciały przed stajnię i siadały na dachu, wiedząc, że koło koni zawsze się ziarnkiem pożywią, gruchając łąziły koło jastrzębia ciągle nieruchomego. Gdy zaś jakim hałasem spłoszone gołębie szybko się zrywały z dachu, gołębiarz pędem strzały trafnie lot wymierzwszy, porywał jednego i chyłkiem poza budynki nam z oczu znikał. Ten manewr tak szybko i zręcznie odbywał, że reszta gołębi i ptactwa nie postrzegała nawet popełnionego morderstwa, i jastrząb powracał na swoje stanowisko z jednej lub drugiej strony okienka. Ta taktyka strategiczna udawała się rabusiowi przez ośm dni; co się z rozumnym ptakiem później stało, nie wiem, gdyż już przestał mnie nawiedzać, musiał zginąć lub rewir zmienić. Czytając dzieło jenerała Lamarmora, przypomniało mi tego gołębiarza w Berlinie; wódz włoski taki nam kreśli portret jastrzębia w ludzkim ciecie: zręczny, wytrwały, cierpliwy i przebiegły, któremu się udało dwa razy złowić sztuką, panującą nad gołębicę, ślepą zawsze na zdradę i podstęp w przekonaniu o swjej niewinności!

Badałem także przebiegłego filuta w Brzeżańskim obwodzie. Na obszernym podwórzu stał odwieczny gołębnik z gnębiącym go dachem na słupie w czworokąt ociosanym postawiony, z obszernymi komórkami do lęgu i podwójnymi ścianami. Jastrząb natarczywością,

zasadzkami, podstępem, zmieniając nawet godziny swych uregulowanych napadów, nic już złowić nie mógł, tak był bowiem wyćwiczył w ostrożności swe ofiary, że nader często nieszczęśliwy rozbójnik musiał swój głód zaspokoić wróblem lub trznadlem. Przebiegłego zbrodniarza bez sumienia szatański rozum nie opuszcza, mój gołębiarz głodem ciśnięty leci na gołębnik, siada na okalającej go desce, a rozpostarłszy skrzydła jak baba spódnice, posuwa się do koła, lotkami i dziobem tłucze w gmach z szybkością wzbudzącą podziwienie. Wynik manewru łatwy do przewidzenia: gołębie niepospolicie spłoszone, jak z procy wylatają, nawet samice jaja opuszczają, a rabuś wybraawszy sobie ptaka, goni za nim i chwyta. Taki-to był środek intratny i wygodny, że jastrząb dwa i trzy razy na dzień przylatywał wypłaszać gołębie ptasią nagonką, musiałem więc zastrzelić tego nad miarę rozumnego ptaka.

Nieraz słyszałem sarkastyczne żarty o moich, zapiskach ornitologicznych: mówiono, że utonąwszy w złudzeniach, spisywałem mrzonki, a nareszcie, że idealizowałem życie ptaków. Ja cytuję fakta i mam to przekonanie, że wtajemniczenie się w przyrodę przy badawczym obcowaniu, może doprowadzić do wielu pożytecznych odkryć, wzbudzić podziwienie, zachęcić do nauk przyrodniczych, celem wydobycia pożytku dla społeczeństwa w zestawieniu życia zwierząt z życiem ludzi.

Przyrodnik z mikroskopem, chemik z instrumentami i retortami, astronom z tubusami, anatom ze swemi skalpelami, tłumaczyli tajemnicze zjawiska, uważane

i karane ongi jako czary; sumienny a bystry badacz śmiało może podawać publiczności spostrzeżenia o życiu, organizacji, o moralnej stronie żyjątek, o ich cnotach, wadach, o stopniu uczucia, rozumu i pamięci; może niejedną przykład przytoczyć na pożytek społeczności, niejedną wysnuć zbawienną myśl, kierującą je ku nawrotowi na spadzistą pochyłości, na którą pcha ją lokomotywa dziewiętnastego wieku, nazwana postępem. Nikt przeczyć się nie ośmieli, że europejskie społeczeństwo złożonem jest ciężką chorobą: jest ono w ciąży nieustającej, lecz bez wydania zdrowego płodu; pragnie rodzić a ustawicznie poronia lub wydaje na świat dzieci z zakażoną krwią. Nosi się dumnie w swą wymarzoną ciężarność, obiecuje uposażyć świat zbawcami ludzkości: a my się coraz więcej przekonujemy, że to nie ciąża naturalna, lecz trapiący mól, pochodzący z nagromadzonych od wieków złych soków i humorów, żółci i kipiących materij, zapełnione w żywocie truczyną, a obiecujące nam rajskie szczęście na tej ziemi.

Jastrząb na podobieństwo sokołów najrzęczniejsi łowi swe ofiary w locie, i o ile się udaje, zmusza je do podlecenia; niechętnie i z wysileniem łapie na ziemi, co sobie łatwo wytłumaczyć można impetycznością uderzenia i szybkością lotu zupełnie nie do obrachowania.

Siedząc raz przy obiedzie w gościnnym domu księstwa Poznańskiego, umieszczonym nad obszernym bagnem, jeszcze ze swemi świsającymi żółwiami, słyszemy nagle tłuczenie szyby w oknie z wielkim łoskotem. Gwarzenie swobodne przerwane, oczy wszystkich

zwrócone ku oknu, i dopiero gdy nad piecem usłyszano trzepotanie, uwaga w tamtą stronę zwróconą została: spostrzeżliśmy jastrzębia tłuczącego się o sufit, a krzyka bekasa zabitego na ziemi. Widać, że rabuś w swą zapamiętałą pogoni, rażony blaskiem szyb i bielą ścian, nie spostrzegł niebezpieczeństwa, a zaślepiony okrutną żarłocznością tuż za krzykiem pędząc, wpadł przez małą dziurkę przeszytą dzióbem bekasa. Podziwiano odwagę natarczywości rabusia i wiele głosów przemawiało za oddaniem mu utraconej wolności. Znając już wtedy dokładnie życie i zadanie tego złoczyńcy, wystąpiłem po pierwszy raz w życiu mojem w roli prokuratora i z wielką trudnością po długim oskarżeniu, otrzymałem wyrok śmierci na niego.

Roku jeżeli się nie mylę 1861, w lasach dóbr Poturzyca, przekonałem się, że jastrzębie gołębiarze łowią zajace nawet w krzakach i swą zacieklą odwagę częstokroć życiem przepłacają. Stojąc na stanowisku wobec dosyć rzadkiego lasu podszytego gdzieniegdzie krzakami, usłyszałem dziwny szelest zbliżający się ku mnie, spojrzałem w tę stronę i zdumienie moje nie miało granic. Widziałem niby to kontury zająca, a na nim coś ruszającego się, przybierającego coraz dziwniejsze kształty, to w górę, to na boki, spostrzegłem rozpostarte i znowu złożone lotki. Istny potwór w ruchu tak szybkim, że pomimo niewielkiej już odległości, nie mogłem rozpoznać istoty tej, niepojętym węzłem związanej razem. W niepospolitym wzruszeniu czekałem na strzał, lecz fatalność myśliwska odgania odemnie potwór i pędzi na mego sąsiada. Wtedy dopiero rozpoznałem dokładnie

to niepospolite zjawisko. Jastrząb łowiąc zająca pewnie w miejscu, z impetem na niego uderzył i tak głęboko wbił szpony w ciało nieszczęśliwego szaraka, że pomimo usiłowań, krzywych pazurów wydobyć nie zdołał, a z drugiej strony ciężar ptaka niedosyć był wielki, aby ruch zającowi uniemożliwić. Straszna to musiała być chwila dla oprawcy i dla ofiary, gdy nagonka hałasować zaczęła kałatawkami. Pierwszy pewnie chętnie zrzekłby się smacznego kąska, byle się z tego towarzystwa wydobyć i sunąć pod obłoki do swego asylum; drugi od pierwszego dnia, gdy został nazwą obdarzony, do naszych czasów zawsze był nazwany timidus, cóż się biedakowi dziać musiało w tém srogiem nawiedzeniu? Na nim istny kat z torturami, z tyłu hałas naganiaczy: zaiste położenie dramatyczne, nie często w dziejach opisane. Sądziło więc zajęczysko na mego sąsiada, niosąc na grzbiecie gołębiarza, pewnie napełnionego równym stopniem strachu. Sąsiad mój rozpoznawszy to curiosum, rzekł sobie: trzeba obydwu zabić, aby przedstawić w pełni ten epizod towarzystwu. Wymierzył, strzelił i chybił niestety! Zając przemknął przez drogę w gęste sosnowe zarośla i myślę, że ocierając jastrzębia o krzaki, nareszcie go się pozbył i z tragicznego zajścia nie pozostało, jak krwawe rany szponami zadane *).

*) W brzeżańskim obwodzie podobne miałem widowisko z orłem-zyzem (*Aquila chrisaetos*). Gdy ogary tropiły zwierza i grać poczęły, ja zaś ku psom podbiegać począłem, spostrzegłem również potwór olbrzymi, podnoszący się i spadający na śnieżną powierzchnię. Stałem jak wryty, zapomniałem o obowiązkach myśliwego dla mnie świętych i wlepiłem oczy w te przewracające się żyjątki.

Starzy polscy myśliwi mówią o wilkach, że pasą dziki, jelenie i sarny, a o niedźwiedziach, że to czynią z bydłem, owcami i kozami. To ma znaczyć, że upatruwszy sobie ofiary, już takowych pilnują, prześladowają i łowią jak się im uda. To spostrzeżenie jest trafne i sam się o prawdzie przekonałem: gdy samory zostaną odstrzelone, warchlaki zbijają się razem w stado i włóczą się za żerem przez zimę całą. Można być pewnym, że jeżeli wilki ich ślady spotkają, już im codziennie towarzyszyć będą; a gdy bezpieczeństwo prześladowania dozwoli, częstokroć stadko dziesiątkują, na wielkich zaś śniegach do nogi wyjedzą. Taksamo dzieje się z jeleniami w górach: raz przez wilki napotkane, już będą przez całą zimę nawiedzane i gonione. Znałem w państwie Skolskiem niebardzo wielkiego niedźwiedzia czarnego przez dwa lata, który regularnie co drugi lub trzeci dzień chodził za stadem, nie bał się trąb, rogów i strzałów, w oczach pasterzy porywał owcę i unosił w głębie i niedostępne debry. Łomy, zwałiska odwieczne, barykady zgniłe, tworzące na parowach djabelskie mosty, zwarte jodłowe gąszcze, tworzyły fortece zabezpieczające bezkarność zbrodniom tego niedźwiedzia.

Po chwili opamiętałem się i wolno z ostrożnością kroczyłem ku polu widocznej walki. Gdy się na kilka kroków zbliżyłem, orzeł mnie spostrzegł, rozpostarł ogromne swe skrzydła i podniósł się nad ziemię o kilka ledwie stóp. Ciężkie zajęczysko, nie dozwalało królowi ptaków ulecieć; zając znów nie miał siły dosyć, aby się wydobyć ze szponów ptaka. Strzeliłem, orzeł padł, wszakże zająca nie wypuścił, przeciwnie, konając wspaniały ptak, konwulsyjnie wpoił szpony w grzbiet zająca i zastygł, nie otworzywszy palców.

Jastrząb w rodzie ptasim jest tym wilkiem i on pasie stada jarząbków, cietrzewi i kuropatw do chwili, w której nie wyłowi ofiar, lub gdy niebezpieczeństwo nie zmusi go do opuszczenia swego obserwatorium. Pamięć ma niepospolitą; wie doskonale, gdzie są gołębie, o której godzinie wylatują; wie, gdzie gęsi pasą gąsienice, a kury kurczęta wodzą; zna chwile, w których kogut swe kury na promenadę prowadzi — bo to złodziej domowy, od niego nikt się nie ustrzeże. Myśli i pamięci nie można zwierzętom odmówić, co już niejednokrotnie udowodnić starałem się. N. p. któż z myśliwych zawodowych nie przekonał się, że zwierzę w śnie marzy, cierpi i raduje się jak człowiek. Wieleż to razy w życiu słyszeliśmy wyłta pogrążonego w głębokim śnie, a goniącego głosem zająca: jak głośni, nogami rusza, jak dysze, później przypomina sobie, że za tę rozkosz dają bolesne razy, wije się i jęczy, zdawałoby się, że czasem otrzymuje karę, gdyż załośnię zaskomli, — nareszcie budzi się, raduje spostrzegłszy, że to sen, a nie rzeczywistość. Lub pies, który warczy, zęby pokazuje, sierść jeży i ujada rzeczywiście, na kogoś napada we śnie. Pamięć koni podziwienia i dalszego badania godna. Czyż to nie dowód pamięci, gdy koń po kilku latach niebytności w okolicy, poznaje poboczne drogi i prosto bez kierowania zmierza ku domowi. To nie instynkt, lecz myśl i jej praca, — instynkt jest darem Bożym dla rodzajów i gatunków według potrzeby wszystkim żyjątkom udzielany; myśl, pamięć i uczucie przywiązane do pojedynczych stworzeń tegosamego gatunku, nawet

stopniowanie umysłowej pracy widoczne u zwierząt i ptaków *).

*) Badawczy myśliwy ma najobszerniejsze pole do ocenienia rozumu, pamięci i przebiegłości zwierząt, a w szczególności odwagi i przytomności. Są zwierzęta, które raz spłoszone, już w tym miejscu nie zostaną i temisamymi drogami nie pójdą, jedne znakomitą filuteryą się wykradają, inne giną dla braku sprytu; wiele jest takich, co długie lata pamiętają niebezpieczeństwo, inne po jakimś przeciągu czasu zapominają o takowym. Są takie, co z nędzy giną i znowu zwierzęta (mówię zawsze o żyjątkach w tym samym gatunku) emigrujące w dalekie strony i ratujące życie. Bywają odważne i przytomne, bywają znowu płochliwe nad miarę i uciekające na oślep. Te uwagi można zastosować do każdego gatunku zwierzęcy, nawet do zająca — i zawsze przekonamy się o stopniowaniu pamięci i rozumie. Znałem zająca, który w niebezpieczeństwie wskakiwał na wysoki pniak i chował się w dziuplę. Znałem lisy cztery, które w czasie polowania na drzewach przesiedziały czas łowów. Znałem niedźwiedźcę niezbyt starą, która spiąwszy się na tylnych łapach, wysadziła swego piastuna na konar buka dosyć wysoko od pnia wystającego, kazała mu warować jak wiewiórce, a przekonawszy się o zabezpieczeniu dziecka, poszła na myśliwych. Znałem sarny rzucające się w wodę przed wilkami i stojące w wodzie do chwili odejścia wilków. Znałem odyńce nieruszające się z miejsca i inne tchórzliwe i uciekające, jak płochliwy zając. Znałem lisy i zające, rzucające się w rzekę przed nagonką i płynące na drugi brzeg, pomimo, że ta zwierzyna antypatycznie nie lubi kąpiele. Nie skończyłbym opisów rozumu, pamięci i przebiegłości u zwierząt i ptaków. Muszę wszakże w krótkich słowach dwa spostrzeżenia tu skreślić: Stałem na śniegu za grubą lipą olbrzymich rozmiarów zupełnie zakryty, widzę, że idzie na mnie samora; gdy nad parów nadeszła, stanęła, wietrzyć poczęła i wolno się ku mnie ścianą spuszczać poczęła; wysuwa się młody dziczek ze stada, przybieg do samory, szturcha ją o żebra ryjem i nogą tupie, a gdy ta się obróciła do niego i stanęła, on mnie ryjem wskazał, ona spojrzała i pędem wraz ze stadem uderzyła na nagonkę. Szło stado dzików w roku 1874, wtém na mnie naprzód idzie samora przed stadem o kilkanaście kroków, mój sąsiad myśliwy strzela do niej i trafia ją, wszystkie dziki

Znałem jastrzębie nie wzbudzające podziwienia, inne znowu, które ciekawość badawczą podniecały do najwyższego stopnia. Znałem ptaki dowodzące posiadania rozważi, rozumowania, siły tworzenia planów i wiernego wykonywania takowych, ptaki drapieżności nienasyconej, inne rabujące jedynie w celu zaspokojenia swych potrzeb, a nareszcie i zaślepione w zapamiętałości i pogoni.

Miałem znajomego gołębiarza przez lat dwa i pomimo, że szczerze pragnąłem go sprzątnąć z tego świata, on zbrodnię za zbrodnią popełniał bezkarnie, z tej przyczyny, że był przebiegłym i doświadczonym zbrodniarzem, pełnym woli, siły, rozumu i stanowczości w wykonywaniu swych zamiarów, zaiste zręczniejszy ode mnie, co mu z pokorą przyznać muszę. Był on postrachem mieszkańców, dziesiątkował gołębie i kurczęta, porywał kury z podwórza i gąsięta; lecz, że to wszyscy korzystają z doświadczenia, więc i domowe ptactwo stawało się ostrożniejsze, coraz częściej nie udawało mu się polowanie, głód doskwierał do tego stopnia, że rabuś mu-

na strzał jak wryte stały; postrzelona maciora wraca do stada, slysze głośnie hurkotanie, stado cwałem w bok uderza, a samora z rezygnacją na mnie wychodzi i ginie. Oczywiście poszła do stada, opowiedziała przygodę i jako najstarsza nakazała ucieczką ratować stado, sama zaś niemogąc uciekać, odłączyła się i w inną stronę podążyła. — Zwolywanie się zwierząt i ptaków, dawanie rendez-vous po rozbiciu, wskazywanie żeru, rozkaz musztry i ćwiczeń, posłuszeństwa i subordynacji, wybranie i uznanie szefa, uległość dla niego, po zgonie takowego natychmiastowy wybór drugiego, gdyż armia bez dowódcy zostać nie może; o to zaiste kartki książki przyrody, których nigdy dosyć zgłębić nie możemy.

siał go gawronem lub wroną zaspokajać, czego bardzo nie lubi, bo smakosz rozpoznaje doskonale żyłaste mięso od kruchego i delikatnego. W tym dworze chowały się dwa liczne stada gołębi: jedno w gołębniku, drugie na strychach, rzeczywiście wyuczone przez jastrzębia, wyłatywały one nader rzadko i to tylko przed stajnię i na kupę nawozu, a przy najmniejszym ostrzeżeniu wracały do swych kryjówek. Meta była za krótką do pogoni, więc się przekonał, że gołębia złowić nie może. Cóż mój rozbójnik czyni? Oto nauczysz się zwyczajów gołębi, do tychże swój manewr zastosował z doskonałym powodzeniem: ukazywał się na horyzoncie i oczywiście był natychmiast denuncjowany przez ptactwo; gołębie szły prosto do gołębników i do okienek w dachach. Gołębiarz już nie gonił za gołębiami, lecz szybkością niepojętą dolatywał do gołębnika lub dachu i stawał w powietrzu na warcie, wprost szarżując na powracające gołębie, mające drogę przez rabusia zamkniętą. Z równą wyrafinowaną przebiegłością prześladował te same gołębie co drugi i trzeci dzień, a zostawiał im czas swobodny do odpoczynku po przebytem spłoszeniu, tymczasem brał w obroty inne. Biedne ptaszęta do tego stopnia były popłoszone, że wcale swych siedzib nie opuszczały i właściciele musieli sypać ziarno po strychach, gdyż głód nawet nie wypędzał już gołębi. Żaden petreolista, bismarkowicz, centrał, bursista i gründer niektórych przedsiębiorstw, nie wywiera takiego popłochu na ludzi, jak gołębiarz na ptactwo. Aby pojąć ogrom tego strachu, to trzeba tensam stopień poznać u posłów sejmu krajowego przed artykułami gazet lwow-

skich; ten strach wyjaśni, dlaczego prześladowani nawet przytomność tracą.

Pojawienie się gołębiarza teroryzuje ptactwo i pędzi do kryjówek bezpiecznych nawet małe ptaszyny, które gardzi rabuś z powodu drobnych ich kształtów. Wrony gwarliwe i ciekawe sroczki wskazują niebezpieczeństwo innym ptakom i zawzięcie gonią rabusia z przeraźliwym krakaniem, głos owadożernych ptaków i najdrobniejszych ziarnojadów bywa wtedy zmieniony, staje się żałosny, pełen wyrazu trwogi.

Co może, ucieka, kryje się po zaroślach, rzuca się o ziemię i trupa udaje, chwila ciszy panuje i dopiero rozumny nasz wróbel zaświergotaniem wszystkim objawia, że niebezpieczeństwo minęło i ptasi świat staje się znowu ruchliwym. Wrażenie na ptaki jest tak silne, gdyby elektryką powodowane, że niemal martwem czyni stworzenie; nieraz mi się zdarzało brać w rękę gołębie i kuropatwy ze strachu na pół umarłe, a resztę ze stadka można było kijem wybić. Korzystając z tego doświadczenia kłusownicy wielkie szkody wyrządzają, puszczając ponad polem zanieszkale przez kuropatwy, gołębiarza z długim sznurem przy nodze, a gdy kuropatwy przywarują i naśladują bryłkę roli, wtedy je zabijają. Widziałem szczególne zdarzenie, a jak się zdaje powtarzające się często według twierdzeń leśniczych. Kura kniejotka jarząbka (*Tetrao bonaxia*) sygnalizuje piskłotom z przerażeniem obecność wroga; maleństwo na grzbiecie przewraca, w palec bierze suchy listek i nakrywa się, poczem matka biegnie pod gęsty krzak i przyczaja się. Gdy ostrzeżenie nie zostanie odwołanym, za-

den ptak nie ruszy się przez godzinę całą, taka-to subordynacja zaprowadzona; spostrzegłszy ruch w liściach i uciekającą kurę, schyliłem się i w rękę brałem młode jarząbki nie broniące się wcale. Wielu myśliwych opowiadało mi, że cietrzewie i słonki téjsamą strategii używają do uratowania życia.

Gołębiarz upatrzwszy sobie stado kuropatw, jarząbków lub cietrzewi, z pewnością pilnować ich będzie i codzień nawiedzać! W szczególności ten rabuś jest straszny, gdy całun zimowy okryje ziemię i dozwoli mu na szerokiej przestrzeni postrzegać każdy ruch ptaka. Niejedno stado zniszczył w zimie w moich oczach i śmiało twierdzić mogę, że w okolicy, gdzie leżą głębokie śniegi, a gołębiarze się zanęca, mało który ptak ujdzie straszonym szponom, posłusznym jego podstępnej przebiegłości i nieporównanej odwadze.

Gdy zielone dywany zboża ozimego w jesieni barwią pola, a siewki (*Charadrius pluvialis*) zbijają się w wielkie stada, wtedy gołębiarz porzuca swą upatrzoną zwierzynę i towarzyszy migracyom siewek, dziesiątkując takowe; chętniej je łowi w locie, gdy zaś wobec niebezpieczeństwa przywarowały, on chwilę pławi się nad niemi, stawia w powietrzu, trzepocze skrzydłami, gdyby balon — spuszcza się i porywa martwą ze strachu siewkę przytuloną do ziemi. Łany podolskie bez kresu i granic, nader obszerne pole przedstawiają do badań podobnych, w tych okolicach widnokrąg gdyby szkoła uczy badacza, nie ukrywając nic ze świata ptasiego *).

*) Kto zna starego koguta cietrzewia (*Tetrao tetrix*), jego roz-

Na bagnach, w polu i w lesie, często mi towarzyszył na polowaniu, niestety nie oddawał ubitej zwierzyny, a postrzelonej nigdy już nie dostałem, gdyż rabuś pierwszy ją złowił i w bezpieczne miejsce zaniósł. Zna doskonale doniosłość broni i umie zawsze zachować odległość potrzebną, zna lot postrzelonego ptaka, wie doskonale, gdzie siadać, aby mieć najpożyteczniejsze obserwatorium.

W polu, gdzie można, siada na drzewach, a gdzie takowych niema, na skibach i miedzach, posuwa się za myśliwymi przez dzień cały, korzystając z wypłoszonego ptactwa. Zdarza się niekiedy, że w swą bezczelności zapomina o wrodzonej ostrożności i naraża się na śmiertelny strzał, lecz to rzadko bywa. Trudno go na polu i w lesie upatrzeć, a on przecie niedaleko siedzi na czatach i gdyśmy przekonani, że odleciał, wpada jak *deus ex machina* i porywa w oczach zwierzynę.

W roku 1873 polował ze mną na wiosnę z nagonką na słonki od rana. Strzelcy z naganiaczami szli, myśliwi zastępywali na liniach. Mój rabuś nigdy nie uderzył na słonkę lecącą na jedną lub drugą linię strzelców, wiedział doskonale, że tam grozi niebezpieczeństwo. Braliśmy już czwarty czy piąty miot, ubiliśmy kilkanaście

miary i wagę, nie przypuści, że gołębiarz jest w stanie go złapać, a częstokroć i o kilkadziesiąt kroków odnieść. Na oczy widziałem tę zbrodnię w stanisławowskim obwodzie! Twierdzą myśliwi podolscy, że łowi nawet dropie karzelki (*Otis tetrax*), czego wszakże zbadać nie byłem w stanie, lecz nie wątpię; jego siła, w szczególności doskonałej samicy, odwaga i natarczywość przypuszczać pozwala, że się rzuca i na większe od siebie ptaki.

słonek, a mój ptasi towarzysz przelatywał z dębu na dąb, straszliwie głodny, wszakże w ostrożności się nie zapominał. Nareszcie leci ku niemu słonka: puszcza się za nią, szponami chwyta, ulatuje na zarosłe drzewami łąki. W tej chwili zwołuję chłopców i gonię ten miot, gołębiarz zabiera swą zdobycz i leci dalej, wypatrzony, został znowu goniony i ze słonką się powtórnie wykradł, dopiero w trzecim miocie udało go się zabić, lecz niósł już tylko szczątki ptaka. Prześladowaliśmy go bez przerwy, a wiadomo, że z pierzem nie pożera swęj zdobyczy: jakże więc szybko obskubał słonkę i z jaką odwagą przystąpił do jej pożycia, wobec strzałów i hałasu. Rabuś i oprawca pierwszorzędnny, to mu przyznać musimy.

Jest on tyranem na jarząbki, te żarłoczne, nieporadne i tchórzliwe ptaki i wysoko ceni smaczne ich mięso; przypuszczam, że ich więcej spożywa jak człowiek, umiejący również ocenić wykwintne pieczyste. Jarząbek przy swych wadach, jeszcze oryginał na kształt turysty angielskiego i tak ciekawy nad miarę, że częstokroć przypatruje się z powagą i najzimniejszą krwią grożącemu niebezpieczeństwu i zamiast uciekać, naraża życie. Dalej lubi nad miarę okazyjki, grzeszy przez obżarstwo, łakomstwo i pijaństwo. Nad wszystko miłuje pączki leszczyny i brzeziny — temi do tego stopnia się obżera, że podlecieć nie może. Widziałem sam, jak jego wole tak napęczniało z fermentujących pączków, że z trudnością oddychał, a znowu często sok pączków w fermentie tworzył upajający napój i jarząbek się spijał do tego stopnia, że my, lub naganiacze rękami

go brali. Z taką ofiarą łatwa igraszka gołębiarzowi. Z tych-to niedołężności z podziwienia godną zręcznością jastrzębie korzystają: trzepoczą skrzydłami nad niemi, teroryzują je i biorą na ziemi, lub też widząc jarząbka siedzącego na drzewie, tyle razy nad nim i pod nim przeszywają powietrze, że nareszcie ptaka do lotu zmuszają i on staje się ofiarą jastrzębia. Wtedy-to podziwiać wypada zręczność, pewność i szybkość lotu gołębiarza, gdy w pogoni za jarząbkami łączy go wśród staropiennych drzew. Doświadczony rozum tego rozbójnika dozwala nawet łowić najostrożniejsze jarząbki już wyuczone niebezpieczeństwem, które się trzymają gąszczów i siedzą na ziemi. Bystrość wzroku gołębiarza nie może być porównana, jak tylko ze wzrokiem sokółów; zdawałoby się, że widzi ofiary w trawach i ciemnych zaroślach. Jak więc wypatrzył jarząbki pod krzakami i wszystkimi swemi sztuczkami nie mógł ich wypłoszyć: wtedy jak stary myśliwiec siada na ziemi, z powagą i ostrożnością idzie do gąszczy piechotą i wypędza swe ofiary. W rewirze dobrze mi znanym Stryjskiego obwodu, wywiodły się dwa zniesienia jarząbków, było piskląt razem z rodzicami i bezzennymi kogutami przeszło trzydzieści sztuk. Na nieszczęście tych rodzin i para gołębiarzy w tym samym lesie wychowała czterech rabusiów. Pod jesień ojciec czy matka napędziła młodych złodziei, małżeństwo się separowało, a gołębiarz przez całą zimę zaczawszy od Listopada do Marca, prześladował jarząbki i niszczył takowe. Polując w połowie Marca, jeszcze widziałem na warcie gołębiarza, a jarząbków ledwie już kilka spostrzegłem. W ten spo-

sób wypatruje sobie niewolników i tych już wyzyskuje do końca. Ten jeden epizod otwiera oczy na olbrzymie szkody, działane przez gołębiarzy.

W roku 1852 wybrałem dwa gniazdowniki, wychowałem je i ułaskawiłem, łudząc się, że z niemi jeździć będę na ptaki, a w najgorszym razie zawsze mi pomagać będą z długim sznurkiem na nodze, do polowania na siewki, zbyt lotne krzyki i ceranki. Własną ręką je karmiłem, na noc do domu nosiłem, siadały na zawołanie na rękawicy i można je było nawet na długie spacery ze sobą brać na rękę lub ramieniu. Od rana siadały na konarach odwiecznych lip, otaczających moją siedzibę, przelatywały z jednej na drugą lub na dachy, a na mój głos zawsze wracały. Niepokoilem się nieco łagodnością tych gołębiarzy tém udowodnioną, że pod lipami drób różnorodny biegał, gołębie na dachu w pobliżu gruchały, natrętne wróble pod szpony się pchały, ciekawe sroczki wychowane w koronie lipy poufale się zbliżały do jastrzębi, a rabusie gdyby turkawki, nawet zdaje się pokus nie miały krwiozerczych. Szczególne to były ptaki: często przynosiłem im żywe kurczęta lub postrzeloną zwierzynę, również i żyjące ofiary i na te zaraz się rzucały i w okamgnieniu opierały i rozszarpały. Niecierpliwie czekałem ogołocenia łąnów ze zboża, aby ptaki zaprawiać; zanim to wszakże nastąpiło w pierwszych dniach września rano i przed wieczorem wznosiły się moje jastrzębie, krążyły pod obłokami, pławiły się w powietrzu, goniły się wzajemnie i na swe lipy powracały. Nareszcie jednego dnia poleciały na spacer, odbyły swe igrzyska, krążyły, to-

cząc koła coraz wyżej i wyżej, nareszcie z oczów znikły i już więcej nie powróciły. Nie znały wolności, a przecie jej szukały i znalazły.

Instynkt wskazuje żyjątkom wolność, stanowiącą życie całe; Opatrzność udziela przyrodzie wolności niemal bez granic, bo takowej żadne żyjątko nie nadużyje, posłuszne odwiecznym nigdy niezmiennym prawom. Dla ludzkości wolność stopniowaną być musi według stopnia doskonałości człowieka; o ile się w nim miłość chrześcijańska w pełni rozwija, a prawność ustala, o tyle człowiek może być wolnym. Człowieka ostateczne przeznaczenie jest wolność, ona jest celem i metą, do której dążymy, lecz droga to ciernista, istna Kalwarya i do tej chwili wszyscy na tej drodze pokrawieni jęczą i wzdychają, swę bogini ani poznać, ani jej konturów oznaczyć nie umieją, pozostaje ona gwiazdką nieujętą, niezdefiniowaną, nieokreśloną, lubie marzenie, wykończany ideał. Wolność, to córa z niebios zwiastowana człowiekowi -- to raj na ziemi, zachowany przez Stwórcę dla swych wybranych, złączonych węzłem chrześcijańskim, w którym się mieści gorąca miłość, wzajemna pomoc, a zawiść i nienawiść przystępu nie mają; król i pan przyrody do osiągnięcia wolności dążyć musi, wszakże wytrwale się przygotowywać, usposabiać, doskonalić w cnotach i uczuciu powinien, lub też wolność go do zbrodni zapędzi.

Wolność to istny kameleon, przedstawiający się zawsze w odmiennych barwach; a przecie niemal każdy pracujący umysł utworzył sobie obraz wolności, zastosowanej do narodu swego; każdy rząd w naszym wieku,

uznał potrzebę udzielenia wolności i oznaczył stopień takowej. Obrazki zebrane pojedynczych ludzi nie dają się zestawić w jeden obraz zadowalniający, pozostaje wolność w teorii; wszakże silnego zastępu ludzi bezinteresowanych koło jednej idei zgromadzić nie można. Rządy udzieliwszy stopień wolności, widzą w wykonaniu częstokroć niemożliwość, a w szczegółach niebezpieczeństwo, bo to rwiący prąd bez szluz i tam; skała św. Piotra była groblą odwieczną i ona jedna mogła zatrzymać potop, chwilowo podplukiwana z góry i z dołu mętami, utworzyła dziś miały dla ludzkości. Rządy uczyniwszy ustępstwa, zmuszone obdarzonych wolnością oszukiwać i błędnymi ognikami olśniewać społeczeństwo, złą i słabą bronią walczą, szerząc niezadowolnienie. Przyczyna tego jasna: żaden rząd nie zna rządzanego swego narodu i jego potrzeb; nie może zatem stosownego stopnia wolności udzielić, któryby zadowolnił i wstrzymał dalsze wymagania. Żaden rząd nie kształci i nie przygotowuje poddanych do używania wolności, która była i jest balsamem lub trucizną!

Wolność z szafotami, despotyzmem ulicznym, z konfiskatami, z deportacjami, z prześladowaniem wiary i zasad chrześcijańskich, z narzucaniem mrzonek, bez posłuszeństwa dla prawa, bez podtrzymywania rodziny, tej odwiecznej podstawy społeczeństwa i narodu, ta wolność krwawym błotem obryzgana, wyzywa do bratobójczej walki. Tylokrotnie z piekieł wysłana, zawsze olbrzymim zastępem podtrzymywana, pomimo, że klęskami nawiedzała, że społeczeństwo zubożyła, kościół zbezczeszczyła, krociami zakrwawionych ofiar obryzgała

naród! I dziś jeszcze, wielkie pytanie, czy ta córa piekieł w różnobarwnych szatach, nie skusi ludzi i w odmęt nie porwie?

Chroń nas Panie od wolności, czerpiącej swe poczęcie w grzechu i zbrodni, w krzywdzie bliźniego, w poniewieraniu odwiecznych prawd, wolności naruszającej własność, wstrzymującej pracę.

Wystawiamy sobie wolność na kształt anielskiej istoty dobroczynnej, cichej, skromnej i czułej, z macierzyńskim uczuciem dla wszystkich, z ręką pomocniczą, wskazującą skarby znajdujące się w wytrwałej pracy, pełnej miłości bliźniego, przygotowującej ludzkość do lepszej przyszłości i lepszego świata; wyraz jój jest łagodny, pełen miłości, wzbudzający zaufanie, przyciągający nas ciepłikiem szczerego uczucia. Jój zjawienie się ma cofać nędzę, łączyć ludzi, zachęcać do trudów, znojów, równać stany na podstawie uczucia chrześcijańskiego, goić społeczne rany, usuwać nienawiść, namiętności, zawiść, a łącząc ludzi, wytwarzać nieprzełamaną siłę. Wolność bez podstawy miłości chrześcijańskiej, pozostanie jak dotąd przemijającą nawałnicą.

Wolność błędnie pojęta, usunęła dozór i kontrolę nad spekulacją i eksploataciami, usamowolniła pieniądź, który rozhlukany w swém wirowaniu stał się bożyszczem i absolutnym panem. Wolność ta spowodowała nieobliczone straty, gotuje klęski na polu materyalnym i moralnym, wyzyskuje uboższe klasy, pochłania grosz wdowi, prowadzi do zbrodni i samobójstwa. Nieczysta w swém poczęciu tworzy bezkarnych zbrodniarzy, sprowadza chciwość wykielną, używanie rozkoszy bez pracy,

powoduje straty i nędzę, zyski zaś prowadzą do swawoli i rozpusty.

Usunięcie zasad i wiary, oto szal upajający, pędzący ludzkość bezwiedną ku mglistemu socjalizmowi. Chciwość już bez granic miota nami, nie dozwala w środkach przebierać, godłem się staje eksploatacja bliźniego, oto posłannictwo człowieka naszego wieku i staje przed nami obraz nędzy i bogactwa na zbrodni spoczywającego: oprawcy i ofiary. Klęski walą się na społeczeństwo mętne falami, lichwa toczy ubogą ludność, a przewodzcy interesowani wołają: nie bójcie się, idźcie za nami pełni zaufania, my wam gotujemy skarby otworem stojące, niebawem bez pracy z nich korzystać będziecie!

Wiele spokojnych umysłów nie porwanych tegoczesnym wirem, zwraca uwagę rządów na ten zgubny prąd demoralizujący społeczeństwo, pochłaniający bogactwa, wstrzymujący pracę, ubożący kraje, miasta i ludność — rujnujący handel i przemysł, lecz rządy w imieniu błędnie pojętej wolności nie śmiały stawiać tamy. Ileż-to zdarzeń przesunęło się przed oczyma naszymi udowodniających, że wolność w pojęciu dziś rozpowszechnioném, wstrzymuje rzeczywisty postęp, ubezwładnia władze, narusza prawa, niszczy i uboży, a zaszczerpia przy niezadowolnieniu niepokój gorączkowy. Myślećby można, że krocie funkcjonujących lokomotyw na kontynencie wytworzyło tyle elektryczności, że mieszkańcy zużytkować jój nie mogą i pozostają w trapiącej gorączce. Pędzą niemal po całym świecie reformatorowie polityczni i religijni, głosząc zbawienne reformy dla ludzkości,

a spokojność nie wraca, praca się nie ustala, zaufania niema, nędza się wzmaga, nic się nie utrwała i tymczasowość panuje.

O to bowiem chodzi, aby usunąć wszystko, co hamuje rozwój wyzowanej wolności, a w miejsce postawić czcze teorie, mrzonki, dręczyć i niszczyć eksperymentami ludzkość, nie pozwolić ustalenia porządku prowadzącego do stopniowego postępu. Wolność tegocześnie usuwająca uzdy i pęta, rozbiła rodzinę we Francyi, a usuwawszy podwalinę, runął w niemoc naród. Zaczęli rodzice otrząsać się z trosk i kłopotów, pochodzących z wychowania; oddawano dzieci na prowincję mamkom, potem do zakładów i szkół publicznych, zatracono zupełnie spójnię między rodzicami a dziećmi, a wpływ matki, tej ziemskiej opatrności, ustał zupełnie, zastąpił go cieplik rodzinny, usunięto uczucie, zastąpiono je interesem. Stopniowo potęgą pieniędzy wzrosła się i oświadczyła wszystkim; używanie rozkoszy świata, stało się celem życia; interes wyparł z rodziny uczucie i zawierano małżeństwa na podstawie kontraktów, gdyby kupna i sprzedaży. Ojciec i matka używali zupełnej wolności niczem niehamowanej, dzieci idąc za przykładem rodziców, nie znały obowiązków, ani jarzma tychże. Rewolucya za rewolucyą potopem zamglila pojęcie, ubezwładniła władzę i naród, usunęła zasady, osłabiła wiarę, podminowała kościół, zaszczerpiła zawiść i chciwość — i w narodzie rozpoczął się proces rozkładu. Wtedy-to żelazny mąż w Niemczech, uznał za stosowną porę do złamania tej przodkującej Europie rycerskości.

Epoki wydają proroków, wytwarzają ludzi chwili, artystów obrazujących stan społeczeństwa; dla wesołych, pustych i lekkich Francuzów wyrósł Offenbach: bawiąc, szkicował ich wady, podchlebiał i rozweselał, a usuwawszy wszelkie podstawy, przedstawił zbydlęcenie człowieka, prawdziwego potomka mieszkańców Sodomy i Gomory; wyszydził prawo i władzę, skarykaturaował rodzinę i miłość, zbezczerpił kościół, wyśmiał rycerskość i uczucie dla rodziny, natomiast postawił cielca złotego: rozkosze i używanie. Niebawem rak przedajności, nieuczciwości toczyć począł, wkradła się niezgoda, niesforność, prawo i władza ubezwładniona została, armie pokonane — i jak ongi za carycy Katarzyny Polska, tak za Napoleona III poszła Francya w jarzmo pruskie — i dźwignąć się nie może, gdyż iskra Boża przygasła w przodkującym Europie narodzie.

Potęgą narodu niemieckiego spoczywa na nienaruszonych węzłach rodziny, Anglia siły swe czerpie w rodzinie zwartą w jedność, czczoną i pielęgnowaną jak sanktuarium społeczeństwa. Żydzi się mnożą, rozsiadają i niepospolitą swą wagą ciężą na naszym społeczeństwie, istna to potęga naszego wieku, spoczywająca w większej części na rodzinie i jej wychowaniu. Wskazówki te widoczne, zwracać powinny uwagę naszą i utrwalić przewodniczącą myśl utrzymania rodziny w swą świętą całość i nie dozwalać wkradania się indyferentyzmu i obojętności, bo jedynie matki wzbudzające cześć, a szczepiące miłość, mogą społeczeństwo wzmocnić.

Wolność prze do usunięcia Sakramentów: teorie głoszą, że śluby są średniowiecznymi pętami, a chrzest

komedya; wolny człowiek wyśmiewa wierność małżeńską, gardzi krępującymi obowiązками względem dzieci.

Zniesienie ślubów otwiera bramę do nieznanego świata: zawierania związków z innowiercami, wychowania dzieci w różnych obrządkach, oto co usuwa i usunąć musi podstawę rodziny. Związki z żydami i innowiercami mogą sprowadzić zaszczoty i bogactwa chwilowe, lecz one nie wytworzą silnej, zgodnej, a dla społeczeństwa pożytecznej rodziny.

Darwin i Büchner pojęli teoretycznie chorobę ludzkości, poznali czczość dusz i umysłów, pojęli gorączkowe pragnienie zapełnienia powstałej próżni teoryami pokusami. Przedstawili ludzkość na podstawie zwierzęcego pochodzenia, rozumem i nauką upoliturowanej, a cel jej w używaniu, gdyż poza tym światem jest tylko grób i zniszczenie. Pozytywiści i ojcowie socjalizmu uchwycili zrećnię broń walki państwa z kościołem, taraniem rozhukanych chuci biją w zasady, cnoty, wiarę i w rodzinę, pewni, że jak runą podwaliny, runie i gmach cały.

Naruszenie i usunięcie wiary, prowadzi ludzi na bezdroża bez kresu. W Rosyi obrządek schyzmatyczny zamroził ciepłik religijny, zaszczerpił zupełny indyferentyzm, rząd użył religii jako narzędzia i broni, a kapłanów za służalców swych. Wytępione uczucie religijne zostawia wszakże pragnienie za utraconym ciepłikiem, mnożą się też najdziwaczniejsze sekty religijne.

W Ameryce wolność niczém niekrępowana, wytworzyła sekty i obrządki godne pogańskich czasów: kwaków, mormonów, czcicieli szatana, wyznawców

Oneidy, wolnej miłości, jasnowidzących i t. d. bez końca. Luteranizm i kalwinizm odczepiwszy się od kościoła, zgłębiając rozumem tajemnice wiary, a ideą wolności uwalniając z jarzm obowiązków, rozstrzelił wiarę na atomy. I jak każdy inaczej pojmuje wolność, a pragnie jej, tak wyznawca nauki Lutra i Kalwina wytworzył sobie każdy odrębne pojęcie, odrębne obowiązki, pragnie wprowadzić wiary, byle go w niczém nie krępowała, wszakże znaleźć jej już nie może!

Niepospolite umysły, przepełnione wiedzą i naukami, dyssekując dogmaty i zasady skalpelem badawczym, usunęły prawidła i podstawy wiary na prawdzie opartej; ducha, ciałem ujarzmili i wprowadzili część ludzkości w istotne obłądki religijne. W Niemczech pojęć religijnych jest tyle, ile u nas pojęć politycznych; koło nowoczesnych apostołów, ledwie kilku niedowierzających uczniów stoi. Dziś już część społeczeństwa protestanckiego czuje potrzebę reformy: w tém rozbiciu szuka, pragnie, gdyby duszony człowiek bez powietrza, lecz ani pociechy, ani pokoju, ani téż swobody znaleźć nie może; usunawszy odwieczną prawdę, żadnej trwałej wiary rozum ludzki wytworzyć nie zdoła. Jeżeli w narodach dziś potężnych i niepodległych brak wiary jest chorobą prowadzącą do rozkładu, jakże przerażający jest widok narodu podbitego i rozczwartowanego, w którym materializm i indyferentyzm maże tradycję, usuwa posłannictwo z godłem: *Za Boga i ojczyznę!* ziębi serca, z cnót ludzi ogałaca, rozwiązuje węzły rodziny, niszczy i rozkłada, w ostateczności ubezwładnia prace społeczności naszej. Wiarą byliśmy silni i jedy-

nie żarliwą wiarą zdołamy się dźwignąć, zachowując jej zwycięski ogień i jedność, która stanowi prawdziwą siłę. Wołać mamy z szczytnym męczennikiem naszego wieku, z św. ojcem Piusem IX: »Wszyscy pragniemy pokoju, Chryste Panie, a Ty jesteś królem pokoju; wszyscy pragniemy porządku, a Ty uporządkowałeś i sprawujesz porządek wszechświata«^{*)}.

Wolność dzisiejsza głosi konieczność rozkrzewiania oświaty i głosi bezsprzeczną prawdę; lecz oświata bez moralności prowadzi do zbrodni, a moralność bez wiary jest czczeniem ładu.

Sucha nauka bez ciepłoty wiary wydaje chciwych socjalistów, zimnych exploatorów, rozbójników finansowych, tych korsarzy na stałym lądzie.

W szkołach wyższych i niższych już żadnej spójni pomiędzy nauczycielem a uczniem, suchy wykład zadawany gdyby lekarstwo, kapłaństwo usunięte, więc nauczycielstwo staje się rzemiosłem.

Stopniowo nauka moralności i religii ustępuje, natomiast pozytywizm rozsiada się z godłem: każdy dla siebie — i uczeń bez opieki rodzicielskiej wychowany wyłącznie książką!

Od lat 30 patrzę na naukowe wychowanie ludu wiejskiego i spostrzegam coraz większy brak moralności, a nader niski stopień oświaty. Zimna nauka nie podnosi ludu ku lepszemu, przeciwnie uczy sobkostwa, wyzyskiwania, przewrotności i pieniactwa, uczy zastępować mozolną pracę zręcznością i występłą przebie-

^{*)} Allokucya Papieża z 25 Marca 1874.

głością. I tak wszędzie widzimy, w miarę usuwania systematycznego religii, szerzenie się materjalizmu, odrazy do pracy, zawiści, a co najprzykrejsze: stłumienie koleżeństwa w znaczeniu pożytecznym tego wyrazu. Bezprzecznie męczyzna na pożytecznego obywatela jedynie w szkołach publicznych wychowanym być może, — one wytwarzają samodzielność, znajomość ludzi, charakter z wytrwałą wolą. W szkołach obfite źródła wiedzy, lecz gdy do téj chwili nie posiadają magnesu moralności i ciepłoty wiary, wtedy dopiero młodzieniec do takowych wstąpić ma, gdy opatrność ziemską, rodziców, zakorzenią niezłomną wiarę, zaszczepiając fundamentalne zasady, wleją w serca ogrom miłości i przywiązania do rodziny. Uzbrojony w cnoty polskiej rodziny, stawiać będzie czoło zasadom tegoczesnym. Szkoła wychowuje znakomitych uczonych, lecz bez pomocy rodzicielskiego ciepłoty nie wychowa poświęcającego się ojca, wiernego męża i kochającego syna.

Wolność staje dziś z podniesioną przyłbicą, jako nieprzejednana nieprzyjaciółka kościoła, wołając z księciem Bismarkiem: »*Złamać antycywilizacyjną potęgę katolicyzmu.*«

Państwo nie chce znieść obok siebie zorganizowanej siły kościoła, a tłumy, napełnione głoszonemi zasadami liberalizmu, nabierają przekonania, że wobec potęgi kościoła wolność ustalić się nie może. Socjaliści wiedzą dobrze, że wobec katolicyzmu i wiary nie mają racji bytu. Te trzy siły zjednoczone, rozpoczęły na wszystkich punktach walkę na zabój, w zwycięstwie widzą zniesienie wszelkich zasad, rozbicie jarzma obo-

wiązków i rodziny, chwytają za broń nienawiści i zawiści; wiedzą z doświadczeń rewolucyjnych, że raz poruszone namiętności nie cofną się wobec rozpoczętej walki, usamowolnione od pętów wiary i zasad, nie zatrzymają się na spadzistej drodze i konsekwentnie dążyć będą masy do zupełnej niwelacji, do usunięcia panujących i przewodców, prawa i obowiązków, własności i rodziny, gdyż wolny człowiek, według ich zdania, tylko siebie i swego rozumu słuchać obowiązany!

Rządcy już dziś widzą grożący olbrzymi prąd, walący się na świat cały z ich przyczyny; usiłują siłą, mocą go wstrzymać, niepomni, że zaszczerpiona i podtrzymywana, ponętna i błyszcząca idea nie da się wstrzymać milionowym armiom, ani też zabić iglicówkami.

Ideę tylko idea zwalczyć i pokonać może, przeciw walącemu się potopowi przewrotu stanąć tylko może odwieczna siła kościoła *ze swą potęgą miłości bliźniego i ze swą wolnością.*

Monarchowie i rządy podkopując kościół, bezwiednie niosą pomoc socyalistom, siebie do upadku prowadząc. Niemiecki rząd najliberalniejszy w teorii, kierowany przez przyjaciela ongi i kolegę socyalisty Lassale, w niewoli trzyma kościół i narody, ujarzmić pragnie wychowanie, usunąć wpływ rodziców na własne dzieci, zawsze w imieniu wolności.

Katolik uważany za nieprzyjaciela cesarstwa niemieckiego; jemu wzbroniony wpływ, usunięty on od znaczenia, napiętnowany nazwą klerykał, patriotą być już nie może!

I tak liberalny rząd w swém zlepioném państwie, piętnaście milionów obywateli usuwa od służby krajowej, widząc w nich niebezpieczeństwo dla rządu!

Rząd włoski na podstawie wolności staje się łupieżcą posiadłości kościoła, szczyty się z kajdan włożonych na Ojca św., cieszy się z rabunków popełnionych na klasztorach w przekonaniu, że pokonanie kościoła ustali jego potęgę i zjednoczy aglomerowane kraje i stworzy system prawdziwej wolności.

I tak się rozpowszechnia idea, że przy istnieniu kościoła wolność ustalić się nie może. Wolność zatem stanąć ma na zgłiszczach skały Piotrowej.

Rosya w imieniu wolności w niewoli trzyma narody, w jarzmo zaprzęga duchowieństwo, zbrodnię wynagradza, niweczy prawo własności i kieruje masy ku nihilizmowi. Katolika torturą przerabia na schyzmatyka, lub czyni go w państwie rosyjskiem paryasem europejskim. I tak w dziewiętnastym wieku inkwizycya nam powraca.

W Ameryce, téj arce wolności, mnożą się zbrodnie przy zupełnej obojętności mieszkańców; trupy ludzi nie wzbudzają współczucia, ba nawet ciekawości—gdyby robaki pogniecione leżały na publicznej drodze, bo każdy żyje wyłącznie dla siebie. Przy wyborach w imieniu wolności szeregują się wyborcy w liczne zastępy i krwawe walki toczą. Nie są-to pojedyncze wypadki, gdy przy wyborach tyle jest rannych, że szpitale są nimi przepełnione, a za licznymi pochodami pogrzebowymi kroczą zwycięscy na cmentarze.

Wszędzie widzimy usuwanie miłości bliźniego, a zastąpienie jej nienawiścią, chciwością i zawiścią. I tak gdzie pieniądź nie mógł odnieść zwycięstwa, tam je krew zdobywa.

Szwajcarya, nazwana kolebką wolności, prześladowa duchownych, ujarzmia kościół, rabuje majątki klasztorne, niszczy dobroczynne zakłady.

Polska przodkowała ideą wolności, Polacy byli jej przedstawicielami wobec zacofanej wówczas Europy, była schronieniem dla innowierców, skarbem tolerancyi.

Wolność szlachty wytworzyła uciemnienie ludu, nieposłuszeństwo dla króla, senatu i hetmanów, — później bunt, najazdy, rzezie, konfederacje, niezgodę. Pycha, duma i niepodległość osobista spaczyła pojęcie miłości dla ojczyzny, odmawiano pomocy, podkopywano władzę, — *liberum veto* przeszło w kość i krew i pojawiła się straszliwa niemoc i rozprężenie. Pozbyliśmy się w naszym wieku niejednej cnoty, a zachowali wady zabójcze; dziś ustawicznie wołamy *liberum veto*, a zamiast szerepenty używamy jadowitych słów i szpiczastych piór, tworzymy rozliczne konfederacje, nie chcemy naczelników i przewodców, straciliśmy siłę twórczą, a natomiast nabyli ogrom siły do burzenia i negacyi; zdawałoby się, że ta droga prowadzi do rozkładu społeczeństwa na bezużyteczne jednostki.

Les extremes se touchent, mówią Francuzi (ostateczności się stykają) *Ciemieństwo stoi przy wolności, swawola kroczy za wolnością*. Historia naszego wieku w krwawym szeregu obrazów przedstawia nam te ostateczności. Wolność niesie ze sobą zdradę, złą wiarę

i podstęp. W teorii przedstawia nam się jako wybawicielka ludzkości, w rzeczywistości przychodzi jako zbrodniarka; schodząc do szczegółów spostrzegamy, że wolność nie poprawia ludzi; z przestrachem czytamy dziś wykazy statystyczne więzień i pomnażającą się liczbę zbrodniarzy w stosunku do ludności w całej Europie.

Widzimy wolność rozprzegającą armie, usuwającą subordynację i nabieramy przekonania, że krew nasza i milionowe ofiary na żołnierza, nie obronią granic i nie utrzymają potęgi państwa.

Wolność w gminie naszej zaprowadziła bezrząd i niesforność, wyzyskiwanie i nieład, bo ciemnota i niemoralność nie znosi wolności. Przypatrzmy się opiece władz w imieniu wolności nad doktorami i aptekarzami, a zaprawdę złorzeczyć się musi tej wolności.

Wolność dąży do zdjęcia błogosławionego jarzma: poświęcenia, z matki, z wiernej i kochającej żony, z opiekunki rodziny, z uległej córki; wolna kobieta pętana być nie może obowiązkami, głoszą apostołowie emancypacyi kobiet — i pędzą najszczytniejsze stworzenie naszego świata do stanu bydlęcego. Własność stać się ma mieniem publicznym, z mężczyzn zdjętą ma być wszelka uзда obowiązków, matka wymazana ze społeczeństwa, dzieci się stają publiczną własnością, kobieta zaś zabawką i cackiem dla wszystkich; oto przyszła emancypacja kobiet!

W imieniu wolności pozwalają niszczyć i przeistaczać najpożyteczniejsze zwierzęta domowe, jak konie i bydło bez najmniejszej opieki i kontroli. Myślałby każdy, że posiadamy w sobie bożą twórczość, i lepić

i przeistaczać nam wolno zwierzęta. Lud nasz wiejski w pełni korzysta z téj udzielonej wolności i już doprowadził do téj doskonałości, że żrebice rodzą już żrebięta, cielice cielęta, a prosięta rodzą już prosięta, i znowu objawia się emancypacya na szkodę ludzkości.

Pewnie, że wybraniec Boży i król przyrody, przeznaczony do używania w pełni wolności o tyle, o ile ona jest oparta na wolności chrześcijańskiej, bez szkody bliźniego, na moralnej oświacie, na ustalonym porządku, na kochającej, a zwartéj rodzinie. Wychowajmy ojców pełnych poświęcenia, ofiarne matki, kochające, uległe i pracowite dziatki w jarzmie wiary i obowiązków, stwórzmy oświatę moralną, zaszczerpmy miłość chrześcijańską, dobroczynną, a wolność rozkwitać będzie jak kwiat pod promieniem słońca, ciepłik wiary żarliwej usuwać będzie zawiść, nienawiść, sobkostwo, usuwać to *ja*, paraliżujące miłość, uległość i poświęcenie.

Wolność głoszona z komuny paryskiej, z bezwyznaniowego Berlina, z centralistycznego Wiednia, wkładająca jarzmo na tych, co nie mają szczęścia być Niemcami, wolność dzisiejszego Rzymu i Kaprery, wolność Büchnerów, Lassalów i Darwinów — ta wolność prowadzi do rozbicia rodziny i wiary, do chamowania pracy, do zaniechania zarobku, do zniweczenia zaufania, do uniemożliwienia stopniowego postępu; wolność-to niszcząca, a nie twórcza, negująca bez żadnej afirmacyi, burząca, a nie budująca nigdy; ta wolność może zalać chwilowo ludzkość jak straszliwy uragan, lecz się ustalić nie zdoła, gdyż wolność jedynie na cnotach i miłości rozkrzewiać się będzie i to, co dziś jest bolesnym

zartem, stanie się rzeczywistą prawdą: *wolny człowiek w wolném państwie*.

Szczególny to wiek! nie wydaje on mężów wyższych ze siłą twórczą i odradzającą ludzkość, a tak dziwnie płodny w reformatorów, burzycieli, niwelatorów, w ludzi niepokojących społeczeństwo? Mnożą się chytre, chciwe i drapieżne jastrzębie w ludzkich ciałach, ofiary zaś nie chcą znać niebezpieczeństwa, ufne i łatwowierne, dobrowolnie przymrużywszy oczy, cisną się pod ostre szpony. Rad temu najwprawniejszy z ludzkich gołębiarzy, opanowawszy swego zgrzybiałego pana, rzuca na pośmiewisko godło narodu: *Gott und edle Sitte*.

Za przykładem z góry mnożą się w Europie ludzkie jastrzębie: potomkowie rodzin dziejowych, przytłumiwszy delikatność honoru i sumienia, wzbogacają się cudzą własnością; mężowie stojący przy tronie i przy władzy, żyją z cudzej krzywdy — i ztamtąd, gdzie ma być źródło prawości, wypływa oszustwo. Plutarchia otrzymawszy wolność, rozsiada się i opanowuje rządy i społeczeństwa, władze się wzbogacają i uposażają swych pomocników.

Widzimy po stolicach kontynentu sankcyonowane zbrodnie i oszustwo, coś więc dziwnego, że społeczeństwo rozkłada się i gnije. Wiele jest drapieżnych gatunków jastrzębi, wszakże chciwością i żarłocznością odznaczają się ludzkie gołębiarze w świecie finansowym. Pojawi się nareszcie epoka, w której uczciwość będzie poszukiwana jako najkorzystniejszy interes i notować ją będą na giełdzie jako towar cenny, a pojawiający się nader rzadko w wieku postępu, wolności i cywilizacyi.

I tak przechodząc szczeble społeczeństwa od dojrzałego do młodzieńczego wieku, spostrzegamy z każdym rokiem rozmnażanie się drapieżnych i chciwych, podstępnych i przebiegłych; ani rządy, ani poważni i wpływowi mężowie nie stawiają przeszkód. Gdybyśmy dozwolili rozmnożenia się w téj liczbie pierzastym gołębiarzom, jużbyśmy pewnie nie posiadali ani drobiu, ani zwierzyny.

Jastrząb, to uosobistniony liberał tegowieczny, pragnie i posiada wolność dla siebie, a jarzmo wtłacza na drugich.

Opatrzność uposażyła przyrodę wolnością, utrzymuje takową w pełni, bez karty, dyplomu, patentu i konstytucyi, na podstawie odwiecznych praw, których żadne żyjątko nie naruszy — i wolność trwa i trwać będzie, bo jej swawola i nadużycia i butna niesforność nie grożą, ani téż przewrót nie towarzyszy.

Jonatan Franklin, znany badacz, opisuje życie jastrzębia gołębiarza w Stanach Zjednoczonych, którego posiadał przez dwa lata.

Franklin, znając rozum i pamięć tego ptaka, z cierpliwością niepojętą, zadał sobie pracę przyswoić, ułaskawić i przywiązać do siebie impetycznego, żarłocznego i dzikiego gołębiarza. Stopniowo doprowadził rabusia, że żył wśród drobiu i noce przepędzał w gołębniku. Zaiste pokusa, równająca się wygłodzonemu wobec zastawionego stołu obiadem, pokusa nad siły naszego szkolnika, bo siedział wśród gołębic piskłat i takowych nie ruszył. Wyjątkowe to zjawisko, wzbudzające podziwianie systematycznej cierpliwości i pracy znakomitego

badacza, utrzymywało się przez rok cały. Jastrząb z gołębiami latał w pole, bujał w powietrzu, toczył koła pod obłokami i wracał o tychsamych godzinach przyjmować z rąk swego pana pożywienie, przywiązany i posłuszny stał się domowym ptakiem. Wszakże pomimo znakomitego wychowania jak Owidyusz mówi: *Emollit mores, nec sinit esse feros*, nastąpiła chwila słabości, pokusa była nad siły, potrzeba ciała wielka i gołębiarz popełnił zbrodnię na gołębiu! Franklin widząc to, wybił prętem ptaka i puścił go. Gołębiarz po otrzymanej karze poleciał na kufę napełnioną wodą, siadł na krawędzi, po chwili rzucił się do środka i utonął. Franklin w długich rozumowaniach udowadnia uczucie, rozum i pamięć tego ptaka.

Naumann opowiada epizody ciekawe z doświadczenia swego życia o gołębiarzu, potwierdzające moje uwagi nad zaciekłością tego ptaka w pogoni.

Kilka razy widział złowionego jastrzębia w domach włościan wśród ścian, który w pogoni za gołębiami przez zamknięte okno, stłukłszy szybę, wpadł do izby i upamiętał się dopiero w więzieniu. Razu jednego złowił kawkę, siadł na kopcu w ogrodzie i zaczął skubać swą ofiarę, wtém stadko gołębi opodał przeleciało; gołębiarz czy nie mógł, czy nie chciał zostawić swój zdobycz, puścił się za gołębiami niosąc w szponach kawkę, uderzył na nie, a gdy w kominie ratunku szukały, on przez komin wpadł do izby, nie puściwszy swój ofiary ze szpon. Pastor Brehm mieszkający w kraju obfitującym w zające i kuropatwy twierdzi, że gołębiarz niemal wyłącznie zwierzyną się żywi. Zające łowi w miejscu lub

goni, szponami i dzióbem bije, męczy i zawsze pokona. Opisuje walkę dowodzącą odwagi i natarczywości drapieżnej tego ptaka: gonił starego, dużego zająca, męczył go przez długi czas, ani zatrzymać, ani pokonać go nie mógł, nareszcie wbił w niego szpony, dzióbem się uchwycił i jechał na nim. Szarak silny uciekał z nim, do góry wyskakiwał, nareszcie się przewrócił i tarzać począł, gołębiarz go nie puścił, pokonał i zjadł. W bażantarniach nieobliczone szkody wyrządza; głupiego ptaka, warującego zawsze w niebezpieczeństwie, bierze na ziemi, w szczególności zabiera młode: upatrzawszy sobie stadko, wpada co dzień jak strzała i porywa jedno, a czasem powraca i po drugie. Szybkość, impetyczność, zręczność i przebiegłość dochodzi u niego do tego stopnia doskonałości, że bażantarniki częstokroć siedzą na zasadzce przez całe tygodnie, a złodzieja ani uchwycić, ani zastrzelić nie mogą.

Jest strona charakterystyki, tego rycerza rozbójniczego w ptasim rodzie, dla mnie zagadkowa. Śmiałość i odwagę determinowaną udowodnia całém swém życiem, a przecie często daje się odstraszyć ptakom, których się nie boi i które mu nigdy nic złego nie uczynią, jak wronom i srokom. Tylokrotnie widziałem gołębiarzy lecących z łupem swym na łąkę, na rolę lub w krzaki, prześladowanych krakaniem wron i srok, pędzących za niemi, w zamiarze podzielenia się z rabusiem smacznym kąskiem. Gdy jastrząb usiadł, one nad nim krzykliwy koncert odbywały, biły na niego, a nareszcie usiadłszy w wieniec w oddaleniu, kracząc ustawicznie podskakiwały ku niemu. Otóż najczęściej tak

go znudziły i zniecierpliwiły, że porzucił na pół oskubaną ofiarę i zostawił ją natrętnym towarzyszkom. Powodu w bojaźni lub ostrożności szukać nie możemy, gdyż często natarczywość ptaków impetyczną szarżą odgania i do ucieczki zmusza. Zdaje się, że wśród obiadu nie lubi, aby mu biesiadę zatrutowano, a pragnie spokojnie pożywać i to bez świadków, dla tego zwyczają gastronom, woli ofiarę uczynić z potrawy, jak ją zjadać wśród gwaru. Nawet przy niezaspokojonym głodzie porzuci zwierzynę i odleci. Widywałem gołębiarzy kilkakrotnie uderzających na gołębie bez skutku i dopiero nad wieczorem łowiących gawrony, a zatem głodnych, pomimo potrzeby zjedzenia łykowatego ptaka, dawały się natrętnym wronom odpędzić.

Według mego zdania gołębiarz tak ufa swęj zręczności, rozumowi, sile i przebiegłości, że pewny skutku łowów, porzuca i goni za drugim, a świadków przy biesiadzie nie znosi. Ten stosunek do wron i srok, a nawet do sojek, gdzie się licznie zbiorą, zawsze wzbudzał moją ciekawość i dziś jeszcze nie wiem, dlaczego odstępuje dobrowolnie żer mozołnie zdobyty, który mógł z łatwością obronić, szczególnie nad wieczorem, w porze, w której trudno mu złowić ptaka z powodu, że wszystkie na spoczynek dążą.

W tarnopolskim obwodzie w roku 1868, w srogięj i śnieżnej zimie, pod samém miastem ukradł gołębiarz żydowi żółtą ogromną kokoszę, poleciał na okop obsadzony wierzbnami i na samym środku tego czworoboku rozpoczął swe śniadanie. Wtém zobaczyłem nad sobą cień, spojrzałem w górę i zachwycony zostałem wido-

kiem orła przedniego (*Aquila fulva*), stojącego i kołyszącego się nade mną w powietrzu, z głową zwróconą ku jastrzębiowi, zatrudnionemu skubaniem swój kury. Poszybował dalej, stanął nad gołębiarzem, zniżył się w locie, zawachlował nad nim, majestatycznie rozłożwszy skrzydła spuścił się i siadł o kilka kroków i kroczyć począł poważnie ku biesiadującemu. Jastrząb się napuszył i zdawało się, że gotów przyjąć walkę; orzeł dziób otworzył, paszczę pokazał i wprost maszerował na gołębiarza, który chwilę zawachawszy się, zeskoczył z kury, podleciał, kilka razy widać na żałobę potoczył koła nad rywalem i znikł mi na horyzoncie.

Bywają tak rozumne i przebiegłe gołębiarze, że gdy głęboki śnieg ziemię pokryje i zającowi lub kuropatwom dozwoli się zupełnie zakopać, one gdyby gończe psy łążą po tropach i nareszcie zwierzyne wypłaszają i łowią. Obrachowawszy czas poświęcony polowaniu, zgłębiwszy rozumu, pamięci, zręczności i odwagi stopień, dopiero wtedy można pojąć, jakie wielkie szkody ten drapieżny ptak nam wyrządza w drobiu i w zwierzynie.

II.

Czas lęgowy, czyli gnieźdzenie gołębiarzy, równie ciekawe do badania jak szczegóły do życia. Już w pierwszych dniach Kwietnia, spostrzegamy pary bujające pod obłokami, stawające ku sobie w powietrzu, spuszczone się pędem ku ziemi i podnoszące się w górę, toczące koła obok siebie, lub jedno nad drugim; te powietrzne igraszki trwają parę tygodni. Zanim wszakże te gody weselne nastąpią, straszliwe walki staczają — rzeczywiście krwawe. Walki przedługowe odbywają się w powietrzu, wyjątkowo na ziemi; u wielu ptaków dziobami, piersiami i pazurami, przypominając turnieje średniowieczne. W gatunkach szcudłatych przedstawiają nader rozweselający widok, gdy z rozognionem okiem, z podniesionem pierzem na siebie po kilkakrotnie szarżę na siebie przypuszczają do chwili powalenia rywala i ubezwładnienia go zupełnego. Rzucają się z impetem na współzawodnika, chybiają go, nie mogą się w impecie powstrzymać, przebiegają kilkanaście kroków i znowu rozognione w odwrotnym kierunku szarżę powtarzają. Przeciwnik powalony wymknie się niekiedy

i na nowo walkę rozpocznie, lecz najczęściej przytrzymany zostaje pazurami i ciężarem ciała swego zwycięzcy.

Nasz Rabuś nie potrzebuje najczęściej ziemi — ona mu wyłącznie służy za stół jadalny, zaś drzewa i świat pod obłokami, to jego mieszkanie. W walce najczęściej trzy ptaki spostrzegamy toczące koła, dwa samce i samicę; wznoszą się i zniżają, pracując skrzydłami, aby górować nad drugim; śledzą ruchy i gdy jeden upatrzy chwilę korzystną do uderzenia na drugiego, górny wychyla szpony i uderza na dolnego, który się w powietrzu wywraca i nadstawia ostre pazury przeciwnikowi; walczą dziobem i szponami w krwawym uściśnięciu. Bywają spojone w śmiertelnych zapachach, zakrwawione przez chwil kilka; zdarzają się nawet wypadki, że spojone razem spadają na ziemię i na niej ostatecznie walkę kończą. Samiczka, jak donna hiszpańska, unosi się nad walczącymi, przypatrując się walce i oceniając siły tego, którego ma wziąć za małżonka. Walki trwają i przez dni kilka. Gdy pretendentów jest więcej, najsilniejszy i najodważniejszy zwalczyć musi wszystkich; wtedy dopiero staje się oblubieńcem w pełni tego znaczenia. Jejmość zawsze turniejom asystować obowiązana; często musi cierpieć, trząść się nerwowo, spazmów dostawać, mdleć z bólesci, serce oburącz przyciskać, jeżeli pokochała innego słabiej konstytucji młodziana; wszakże posłuszna odwiecznym prawom, przyjmuje związek wyłącznie ze zwycięscą. Przyroda, jak to wielokrotnie udowodniłem, nie broni związków w najbliższym pokrewieństwie, jak: ojca z córką, matki z synem, brata z siostrą, byle ród był czysty, zdrowie

i siła zapewnione; zawsze zaś usuwa słabe organizmy, skazując takowe na bezżenność.

Uważałem zawsze wierność w ptasich małżeństwach; w dalszych latach, gdy które z małżonków zginęło, związki się uzupełniają w rodzinie i wtedy walki krótkotrwałe, jak się zdaje przez uszanowanie dla legalności opartej na odwiecznych prawach. Rywal chwilowo rozgorączkowany próbuje swego szczęścia, lecz widząc opozycję w tej, którą pragnie zdobyć, — ustępuje.

W przyrodzie wyłącznie zdrowie i siła ma wolność prokreacji, w społeczeństwie naszym przeciwnie się dzieje: ani kościół, ani władze nie bronią zdechłakami uposażać świat, łączyć skrofuły ze suchotami, anemie z nerwowymi organizmami. Dla ludzkości wydał kościół surowe prawa, wzbraniające związków w bliższym pokrewieństwie; a przyroda w rodzinie prokreuje od kilku tysięcy lat, zachowując się w czystości, sile i zdrowiu. Zagadka łatwa do rozwiązania: sztuczne życie, nienaturalne wychowanie, niezdrowy pokarm zdegenerowały natury ludzkie, kiedy przeciwnie żyjątko przyrody pozostały w pierwotnym wychowaniu.

Udowodnionym jest pewnikiem, że dzieci prokreowane w bliskim pokrewieństwie mają zdegenerowane organizmy i zmysły. Statystyczne wykazy szpitali i domów waryatów w Anglii i Szkocji dowodzą, że połowa chorych umysłowo pochodziła z rodziców pobranych w rodzinie. *W ręku Bożem doskonałe rodzi doskonałe, a w ludzkim dobre rodzi nie zawsze lepsze, złe rodzi nieochybnie gorsze!*

W społeczeństwie europejskiem na zawieranie małżeństw wpływa nieco uczucie, przeważnie pieniądz i koligacye. O zdrowie i czystość krwi, ani rodzice, ani téż młodzież nie pyta; nawet kwestya, czy dziewczę może być matką, nie ma wagi. Krzyżowanie to błędne i szkodliwe, prowadzące zamożniejsze klasy do osłabienia i życia bez pożytku. Rodzice kwękają, czas i pieniądze marnują za granicą, bo klimat nasz za ostry na te sztucznie utrzymywane ciała; dzieci karmione od kolebki mineralnemi wodami i podtrzymywane do chwili, w której niedorodek rzucony zostanie w małżeństwo, aby dalej perpetuować leczenie. Zdawałoby się rzeczywiście, że ta prokreacja szpitalna wyłącznie dla lekarzy się odbywa i że zawód doktorski pierwszorzędne miejsce w społeczeństwie tegowiecznem otrzyma.

Oświecona część ludzkości niesumiennie postępuje, prokreując pół-człowieczki anemiczne i skrofuliczne; nie zastanawia się nawet nad tym ważnym obowiązkiem wytwarzania zdrowych dzieci. Przy kojarzeniu młodego wieku *czyli zakładaniu rodziny*, zamykają oczy nad szeregiem cierpień, lamentacyj, niebezpieczeństw, kosztów, smutków i żałoby, za którymi stoi zimny grób, łzami zalany! Społeczeństwo wyższe usunęło ze swych poglądów, usunęło i z sumienia, święty obowiązek zakładania rodziny — uposaża ludzkość nędzarzami fizycznymi! Spostrzegamy bez liku młodych ludzi niezdolnych do pracy dla braku zdrowia i sił, matki po wydaniu na świat lichego dziecka ratujące za granicą nędzny żywot, a miejsca mineralnych zdrojowisk napełnione naszymi. Prokreujemy chorych, byle skojarzyć history-

czne tarcze, zlać olbrzymie fortuny w jedną. Cóż nie-szczęśliwemu krajowi za korzyść przypadnie ze związku korony z mitrą, z milionów połączonych, gdy po kilku latach suchoty zabiją ojca lub matkę, a dzieci, sztucznie za granicą podtrzymane, nędzny żywot pchać będą ku grobowi? Cóż krajowi z matki anemicznej żyjącej przez lato żelazem, a przepędzającej zimę na sofie w południowych krajach? Te uwagi bynajmniej nie usuwają uczuć najtkliwszych i najwznioślejszych, lecz wkładają obowiązek na chrześcianina i na obywatela uposażenia społeczeństwa zdrowymi, a zatém w przyszłości pożytecznym ludźmi. Jak bez nóg chodzić nie może człowiek, a bez rąk pracować, tak schorzały pożytecznym być nie może i staje się trutniem i ciężarem. Już nas nie wiele pozostaje z dawnych, nie mamy prawa rościć sił narodu; olbrzymie prace i walki nas czekają, przygotować mamy siły i zdrowie; w wątłych organizmach nie znajdziemy podpory, pomocy i pożytku.

Ani rządy, ani kościół w karby wziąć nie mogą prokreacji, wciskać ciężar prawa w rodzinę, — lecz miłość dla kraju i dzieci, powinność obywatelska ma nam wytworzyć przewodniczącą myśl, że w narodzie męczeństwa, w narodzie przeznaczonym do walki i odrodzenia, prokreacja chorych świadoma i z własnej woli, również związki zawierane we własnej krwi, są grzechami wobec narodu, społeczeństwa i rodziny.

W ogólności ludzie wpływu nie uwzględniają koniecznej potrzeby zwracania uwagi na część zwierzęcą człowieka, która stanowi siłę społeczności, nie wytwarzają i nie głoszą téj zasady, że choroby ze zdrowiem

nie można skuć na całe życie, że z dziedzicznych wad nie można wyprowadzić generacji i niemi naród uposażyć. Zaiste to znowu szkodliwa wolność.

Gdybyśmy w gospodarstwie wiejskiem ten proceder zachowywali, jużby dawno nie było koni do jazdy, krów dla nabiału, wełny na odzież naszą, może i świń na szynki. Przyroda nam służyć ma za przykład do naśladowania, bo od kilku tysięcy lat wychowuje swe żyjątko w nienaruszonej czystości kształtów i zdrowiu i sile.

Nie jeden badacz twierdzić może, że niekiedy związki bez walki bywają zawierane, wszakże to błędne twierdzenie; wszystkie ptaki zdrowe i doskonałe walczą w porze lęgowej, a jeżeli do nas już w parze przybywają, to stoczyły walkę zwycięską w krajach cieplejszych, gdzie kwarantannę odbywają, zanim temperatura powietrza dozwoli przybyć do naszej ojczyzny z nieskończoną zimą i ze spóźnioną wiosną, jak w Węgrzech, w naddunajskich prowincjach i t. d.

Gołębiarz nie opuszcza zdobytego rewiru przez zimę, wyjąwszy w czasie gnieźdzenia; nie zna swój żony, zapomniał o dzieciach; on nie ma czasu, nie ma i serca, krwią rozlicznych ofiar przygłuszył uczucie; żywot jego męczący, bo drapieżność i żarłoczność bez granic. Nie zawsze uda się rabunkowa wycieczka, pomimo że doskonale obmyślona i przygotowana: tu gołębnik pusty, tam kurki zamknięte, to znowu stada ptaków przeniosły się w inną stronę, nawet kuropatwy pilnowane zmieniły pole, więc rycerski rabuś głodny wraca do swój fortecy, lub zaspokoić musi głód łykawatém mięsem gawrona, sroki i sojki, lub go zaostrzyć małym ptasz-

kiem, tyle dla niego znaczącym, ile dla paryskiego smakosza ortolan.

Gnieździ się po wielkich lasach i po gajach, wysoko i nisko na drzewach, ściśle obszerne gniazdo lub wypędza i zdobywa gniazda kań, a nawet i wron, gdy go potrzeba przycisnąć.

Nareszcie wypędził z ojczyzny wrogów i współzawodników, zabezpieczył sobie niepodległość, zawarł związek małżeński, walką rozognił krew, wzbudził chucie. Wtedy zdawałoby się, że w tym zbrodniarzu jest coś nakształt uczucia, bo cały świat udowadnia, że krew nie woda; zbrodniarz mięknie, mizdzy się, tuli do samiczki i pieści ją. Samiczka z wyrafinowaną kokieteryą usuwa się, niby jeszcze od samca stroni, ciągnie go za sobą toczyć koła pod chmurami, pływa w powietrzu, udaje ucieczkę, a pragnie pogoni, ucieka szybko i znowu staje; on zaś cuda gimnastyki wyprawia, gdy zpod obłoków pędem strzały spuszcza się pod samicę, okoli ją, później nad nią zagóruje, zbliży się i lotką popieści. Dnie całe poświęcają tym hecom weselnym, a nad wieczorem, kwiląc żałośnie spuszcza ją na gniazdo, jedno siada na gnieździe, drugie na najbliższej gałęzi. Wtedy rabunkowy rycerz, chwilowo oddany samiczce, zabija ściśle to, co koniecznem do zaspokojenia głodu, więc lada wróbel lub trznadel wystarcza rozognionym ptakom, a zatrudnieni wyłącznie sobą, nie mają czasu do dalekich wycieczek.

Urządzają więc swą siedzibę; samiec wprowadzie nie wysila się do noszenia materiałów ku budowaniu lub restauracyi gniazda, szepcząc swój lubój do ucha:

że lepiej wypędzić jakie wronisko z zasiedziałego ciepłego gniazda, jak mozolnie budować i czas tracić; lecz ona wytrwale pracuje nad jego wysłaniem. Zawsze, jeżeli nie były gołębiarze na niebezpieczeństwo wystawione, powracają na przeszłoroczne gniazdo i to ułatwia poszukiwanie za szkodnikami.

Znosi trzy do czterech jaj, biało zielonawych, niekiedy z brudnymi, nierównymi plamkami, najczęściej jednego koloru, większe od jaj kurzych, pękate i zaokrąglone, z wielce chropowatą skorupą; leżą one na twardym posłaniu, bo na gałęziach, nieco mchem zarównanych. Samica tak twardo na jajach siedzi, że w pień drzewa kilka razy uderzyć trzeba, zanim da się wypłoszyć; on z rycerską galanterią donosi przysmaczki i kładzie na krawędź gniazda, bawi ją kwileniem, toczeniem kół i zawsze jest w bliskości. W czasie lęgu nader ostrożny, rzadko kiedy za las wycieczki przedsięwzię. Pożywienie wtedy stanowią: gołębie dzikie, turkawki, drozdy, wiewiórki, koszatki, młode zające i pisklęta wron porywane z gniazd. Po trzech tygodniach wyłazą rabusie z jaj, ogrzewane przez kilka dni pierzastym brzuchem matki; wtedyto podziwiać musimy zreczność, siłę i odwagę rabusia, żywiącego tę żarłoczną rodzinę, gdyż samica wcale nie opuszcza gniazda. Pomimo, że czuję do niego szczerą nienawiść i pragnę do śmierci wszystkimi środkami w mojej mocy zostającami przesładować go, słusność wymaga, abym uznał i wykazał rzeczywiste zasługi ojca w zabezpieczaniu potrzeb rodziny i w wychowaniu dziatki. Nietylko wyżej wyliczone zasługi względem rodziny zdobią ptasiego

rycerza, lecz mam zapisane dwa fakta nader ciekawe z jego życia.

W roku 1853 zastrzeliłem samicę siedzącą na pisklętach jeszcze, a że buk był gładki i wysoki, żaden z moich chłopców nie chciał się drapać po szkodników; zostawiłem je i po dwóch tygodniach przekonałem się, że sam samiec bez pomocy wykarmił je i wychował. W roku 1856 ubiłem samicę z jaj zlatującą i znowu nie mogłem dostać zniesienia, więc odszedłem. Po dwóch tygodniach, chodząc za gniazdami orłów karlików (*aquila pennata*), uderzyłem w drzewo gniazda gołębiarza i — na moje wielkie zdumienie — zebrałem dowód, że mój jastrząb żonę zastąpił w wysiadywaniu jaj, wykarmieniu siebie, później i piskląt. Można sobie wystawić drapieżną czynność tego ptaka i wytrwałość, gdyż zaiste nie było-to łatwe zadanie do spełnienia.

Znałem dwie pary gołębiarzy, jak się zdaje mocno płoszonych, tak ostrożnych, że gdy się tylko zbliżałem, one odlatywały. Niebawem sprzykrzyło się to nawiedzanie moje ptakom, zabrały pisklęta i zaniósły na obce, o kilkaset kroków odległe gniazdo od swego. Bywają znowu zdarzenia, że ze strachu porzucają jaja, a nawet pisklęta przeznaczają na głodową śmierć. Czy się w takim przypadku niosą po raz drugi, dociec nie mogłem.

Rabús w swym perłowym puchu, z oczami i dzióbem czarnym, z nogami żółtawo-zielonawymi, wcale nie wygląda na pisklę mające wyrosnąć na Nerona lub Kaligulę; piszczy i kwili przez dzień cały nienasycone, upominając się ustawicznie o jedzenie, tuli się do to-

warzyszy, zziębnięte; drzémi spokojnie, ile razy głód je nie przebudza. Rodzice bez troskliwej bony działwę czysto utrzymują i uczą czystości, ekskrementa poza gniazdo wyrzucają, a zostające na krawędzi liśćmi przykrywają i gniazdo bywa umajone. Już od dzieciństwa wychowują dzieci na rabunkowych rycerzy: posłanie bywa twarde na drzewie mchem nieco nakrytém; w pierwszych dniach przynoszą obskubane drobne ptaki, szarpią je na gnieździe i karmią pisklętą, kładąc w paszczę kawałeczki mięsa, później uczą skubać pierze, przynoszą żywe ptaki i każą zabijać pisklętą, a nareszcie donoszą czworonożne, pokaleczone ssaki, kładą na gniazdo i szponą przytrzymują. Gdy już pisklęta wszystkie klasy przebyły, rodzice z gniazda wypędzają pasibrzuchów, pędzą je na pierwsze gałęzie, później na dalsze z drzewa na drzewo i nareszcie prowadzą pod obłoki koła toczyć, zwroty robić, impetyczność lotu wykształcać, uczą napady czynić, niebezpieczeństwa omijać. Przez długie tygodnie nie mają odwagi młode złodzieje do opuszczenia lasu, do nawiedzania wsi i dworów, do czynienia napadów, żywią się ptastwem leśném; stopniowo rodzice je wprawiają i prowadzą, w połowie zaś Sierpnia rabunkowi rycerze już są w zbroi i gotowi do najśmielszych wycieczek *), jako pełnoletnie i usamowolnione, rodzice spo-

*) *Tempora mutantur* i t. d. nazwy nawet gniazdowników, rabców, gałęźników zatracone, a z niemi tradycja myśliwstwa polskiego! Sokół zastąpiony strzelbą, sokolnik — iglicówką, koń — krzesłem do lasu, berło — zarękawkiem, kaftan — miękkim futerkiem.

kojni o przyszłość dzieci, wyuczywszy je rzemiosła, rozstają się z niemi na całe życie, pewni, że będą znakomitymi rabusiami, ostrożne a odważne, przebiegłe a impetyczne, jedném słowem praktyczne sobie i swemu rodowi wystarczające. I tego porządek świata wymaga, aby syn szedł w ślad ojca, a stawał się lepszym i doskonalszym, wtedy praca będzie odpowiednia i pożyteczna *).

W bliższych czasach rozbioru Polski, gdziekolwiek napotymano jeszcze sokoły, jako pozostałości po dawnych dworach magnatów, tułające się po kuchniach i drewutniach, jak nieszczęśliwe bociany, straciwszy charakter i znaczenie tak, jak ich panowie. Jak sokół szlachetny opylony, z nędzy na pół wypierzony, żywiący się wyrzuceniami z kuchni flakami, zamiast na złotém berle, siedział na walcym się dachu, taksamo magnat porzuciwszy zbroję, schowawszy do kryjówki swą tarczę, cisnął się na Verwaltungsrata, lub się starał u obcych o klucz na swym tyle. Zaniedbanie harców na koniach, sokolów i łowów, stopniowo wyprowadzało szlachcica ze wsi, którą żyd zajmował, a gdy wieś i życie wiejskie straciło urok, nie dostarczało bez pracy na błyskotki tego świata; szlachcic poszedł w brukotłuki, uszczęśliwiony, że może używać, *dolce far niente*. I jak innym narodom miasta były pożyteczne, tak szlachcie polskiej były równie zgubne, jak Kapua Hannibalowi: usunęły od pracy koło matki ziemi, a natomiast nie dostarczyły pożytecznych zatrudnień.

*) Cały szereg żyjątek w przyrodzie wykazuje nam obowiązki pracy, samodzielności bez obcej pomocy, — każde stworzenie, według odwiecznych praw, spełnia swe powinności, zachowuje czystość, zdrowie i siły swego rodu, każde jest sobą samém, nie naśladuje, nie pnie się na szczęcie dla niego nieprzystępne. Jastrząb, pomimo swego sprytu i przewrotności, nie przeistacza się na orla lub sępa; wróbel, dowcipny i swawolny, nie udaje słowika, osioł konia, zając tchórzliwy odważnego szczura, trznadel nucącego pod obłokami skowronka i t. d. Historia nam przypomina, że razu jednego kawka ubrała się w pawie pióra i wyśmianą została, a żaba wydymała się do wielkości wołu i pękla. Przyroda ma nas uczyć:

Jastrząb uczy dzieci od kolebki znosić głód i niewygody, zmiany powietrza, uczy spać na twardym posłaniu, wykształca siły, do czynnego życia zaprawia i głosi: *bez zarobku niema odpoczynku*; prowadzi na najazdy i zaszczepia odwagę, wskazuje niebezpieczeństwa, pole pracy, środki ochrony, a nareszcie zaszczepia ideę samodzielności, wiarę we własne siły i potęgę. Pomocy niczyj nie potrzebuje, za obcą się nie ogląda, współników nie szuka, sam sobie przez całe życie wystarcza.

U nas, tak w jednostkach, jak w narodzie, od dzieciństwa zmiękczenie towarzyszy wychowaniu; następuje później mamczenie czyli oglądanie się za obcą pomocą i podporą, a nareszcie sztuczne karmienie i zaszczepianie lenistwa. Za materacem idzie nieuctwo; zagraniczne bowiem wychowanie ma wlać nauki w młodzież przez intuicyę; powraca nareszcie niedouczony młodzieniec, species mieszańca: on z siebie niezadowolony, a społeczeństwo go uważa za pasożyta, nie chce

być nami samymi, nie naśladować, nie odgrywać obcych ról, nie przyswajać sobie z obczyzny, bo to, co tam pożyteczne, u nas często bywa szkodliwe. W literaturze, w dziennikarstwie, w urzędzeniu administracyi i gospodarstwa, w utworzeniu autonomii i w ogólnych stosunkach społecznego życia, słyszymy ustawicznie o przykładach z obcych krajów, które mają być naśladowane w zupełności, a nic nie stosujemy do tradycyi, zwyczajów i charakteru narodu; miazmata zachodu nas zaraziły, wszakże doświadczenie nie poszło nam na pożytek. I jak Wiedeń dla nas wszystkich robił buty na jedno kopyto i kazał w nich chodzić małym i dużym, tak stworzyć pragniemy cudzoziemski ustrój dla społeczeństwa i wołamy, że to polskie. Zaiste to kawka w pawich piórach, którą wyśmiać muszą.

pracować w zawodzie ojca, a innego obrać nie umieć. Prowadzi życie czcze i pełne pustoty, starszy wiek spędza w letargu umysłowym, zużyty i niezadowolony chodzi w kajdanach wad i nałogów, a w duszy czuje, że nie ma stanowiska, że nie zdziaływa pożytku, że zawodu nie obrał, że nie jest samodzielnym. Dziwny to proces odbywa się w społeczeństwie naszym: szewc brzydzi się rzemiosłem swego ojca; kupiec wyśmiewa handel; urzędnik klnie się, że lepiej tłuc kamienie na drodze, jak urząd piastować; szlachcicowi śmierdzi obornik; nauczycielowi hałasują zbyt dzieci; wieś się każdemu przykrzy, a na miasto wygaduje; niania już dziecka powijać nie chce, a bonie ciężar dziecka zawielki; kucharzowi zagorąco w kuchni, a kuchcik od rożna ucieka; stróż niebawem przestanie wodę nosić i rąbać drzewo, bo to ubliża godności; chłop-gospodarz sam nie pracuje w ziemi, lecz swe dzieci posyła. Mnożą się malkontenci, zapoznani krytycy i wichrzyciele, wszyscy głośni, z rezonem, lecz bez zdolności i pracowitości.

Chłopa syn chce być koniecznie księdzem, lub w najgorszym razie pokątnym pisarzem; oficyalisty i urzędnika — doktorem, adwokatem, notaryuszem lub konsyliarzem; rękodzielnika — kupcem; szlachcic — przebiegłym finansistą, przedsiębiorcą bez pieniędzy, przemysłowcem bez fachowego wykształcenia; magnat — dygnitarzem u obcego rządu — wszyscy pragną być ludźmi wpływu i znaczenia, ludźmi rozkazującymi, a nie słuchającymi — wszyscy chcą mieć zarobek bez pracy, życie wygodne, dostatki, zabezpieczoną przyszłość swoją i rodziny. Nikt nie pragnie iść w ślady ojca i kształcić

się do tego zawodu, zawsze przestarzałego, korzystać z nabytego doświadczenia; bo tego postępowanie wymaga. Mnożą się adwokaci bez spraw, dziennikarze bez prenumeratorów, literaci bez czytelników, doktorzy bez chorych, przemysłowcy bez fabryk, inżynierowie bez zarobku, obywatele ziemscy bez majątku, a wszyscy na jedno się zgadzają, że gmach świata zbutwiały i że go zwalić trzeba. A rola nasza wdzięczna, żywiąca miliony ludzi od dwunastu wieków, opuszczona i wzgardzona, powierzona do uprawy bezwiednej ciemnocie, lub rzucana na pastwę wyzyskującemu żydowstwu! I tak sami siebie gnębimy i niszczymy, zbijamy się w stada, aby krzyczeć a nie pracować; stowarzyszymy się, aby jak najmniej robić, częstokroć, aby drugich eksploatować — i co w rękę weźmiemy, paczy nam się jak z podszeptu szatana; zdawałoby się, patrząc na ten dziwny i jadowity ferment, że wypadnie niebawem oczekiwać jakiego Mesjasza, któryby wszystkich do cichej, wytrwałej pracy nakłonił, a jednostki szkodliwe spędził w pożyteczne zastępy ku rozwojowi bogactwa krajowego, w kierunku umysłowym i ekonomicznym. Widocznie przechowaliśmy ze złością i wiernością wady ojców naszych: buntów i konfederacji, a nie mogąc przeprowadzać ich na wielkie rozmiary, wystarcza nam dziś trzech, czterech do założenia konfederacji przeciw czemuś, a nie mogąc się buntować przeciw rządowi, buntujemy się przeciw nam samym. Stuletnia niewola usunęła twórczość i samodzielność, a zaszczerpiła zabijającą negację i paraliżującą nieukontentowanie!

Po rozbiórce kraju raz jeden w nas samych szukaliśmy siły i pomocy; znaleźliśmy ją, lecz niezgoda w niemoc nas wprowadziła. Ociemnieliśmy z rozpaczą za utratą ojczyzny, siebie z oka straciliśmy, wykształcenie samodzielności i ufności w własne siły zatarliśmy i gdyby kaleki wyciągaliśmy rękę do obcej pomocy; zebracy i poniżeni włóczyliśmy się z petycjami, kraj opuszczali, prace ekonomiczne i umysłowe zaniedbali — i Polska stała się suchym, spalonym ugorem!

Szukaliśmy Polski jako najemnicy, roznosili kości nasze po pięciu częściach świata: robotę przyjęto, wypłatę wstrzymano, ławowiernych robotników wyśmiano. Szukaliśmy Polski u Turków, u Garibaldeggo, u króla włoskiego w wojnie z kościołem, szukaliśmy ojczyzny u socjalistów i demagogów, brnąc ze spisków w spiski, przepełniając ofiarami więzienia; szukaliśmy w sojuszu ze Słowianami, z Czechami, ba nawet z Niemcami, którzy ze swego historycznego i tradycyjnego stanowiska wychodząc, dobrowolnie jeszcze nic nie oddali — istne smoki, pożerające, co się do nich zbliży. Zasada aglomeracji i *Drang nach Osten* nie odstraszyły nas — i byli szaleńcy wyciągający z petycją ręce ku ks. Bismarkowi, największemu wrogowi Polski i kościoła, który, gdyby na urąganie memu znajomemu, w roku 1868 powiedział: jeżeli będzie Polska, to przez Niemcy utworzona, gdyż wspaniałości, uczucia i sprawiedliwości nigdzie nie znajdzie, wyjąwszy u Niemców! Wszędzie zawiedzeni, wszędzie oszukani, przytuliliśmy się do Austrii, wszakże uważamy ze strachem, że oparcie słabe i część oświecona płaszczy się i mizdrzy ku północy, —

z kąd uragan wiekowy niszczy mienie, wiarę, społeczeństwo, bez przerwy druzgoce wszystko co polskie i w swęj miłosiernęj wspaniałomyślności rzuca nam przebaczenie i mówi: wszystko co polskie istnieć nie może, wszystko usunę, a wam dozwolę oddychać polskim oddechem i to nie publicznie, lecz w gronie rodziny, w zamian wcielę was w najpotężniejsze państwo wolności i postępu. — A ciemni i szaleńcy wierzą, że polską wyższością mniemaną zdobędziemy w przyszłości odrębne stanowisko. I tak wszędzie szukaliśmy ojczyzny, wyjąwszy w piekle, gdyż nam po śmierci Twardowskiego droga była niewiadomą; wszędzie, *tylko nie w nas samych*, w pracy, w rozwoju, w zjednoczeniu. Cicha, wiekowa praca wytrwała, na ziemi ojczyści, oparta na miłości bliźniego i na wzajemnej pomocy, byłaby wzmogła siły i bogactwo, byłaby wytworzyła zastępy, których dziś nie mamy.

Rozpacz, niecierpliwość i niepokój odwodziły nas od pracy, gorączkowość burzyła, niezgoda rozdzieliła i stanął naród w znakomitych rozbitkach bez kotwicy, busoli i kierowników. Patrzymy na drugich, nigdy na siebie; gdyby zubożeni, wyciągamy ręce, ganimy wszystko, pochwalamy i uznajemy nader rzadko; wszystkiem chcemy być — byle nie nami samymi. W przyrodzie całej w pełni zastępują dzieci rodziców i to wytwarza odwieczną równowagę, której my od stu lat znaleźć nie możemy; nie chcemy być tymi, którymi byli rodzice — i pniemy się do zawodów, do których my się nie kształcili i które nas boleśnie zawodzą. Przygłuszamy sumienie i uczucie cudzoziemskimi sofizmatami i paradoksa-

mi; małpujemy obcych, a naśladować ich nie umiemy; przyswajamy wszystko z zagranicy, zacierając to, co rodzinne; soki swe wylewamy, a obcą krwią żyły napełniamy, a przebrawszy się za Anglików, Francuzów, Niemców, a czasem za żydów, wołamy: patrzcie my Polacy, wierzcie nam na słowo, powierzchowność nie nie znaczy!

Jastrząb wie, czego chce, zna cel życia, zna i środki prowadzące go do celu; wierny swemu zawodowi prowadzi życie jemu wskazane.

Drapieżna żarłoczność gołębiarza i butna odwaga rycerza rabunkowego nie dozwala znosić rywala w bliskości — on być musi sam z żoną, a przez kilka tygodni z rodziną — i śmiało twierdzić mogę, że na jednej mili przestrzeni nie zniesie drugiego, gdyż ta przestrzeń ledwie wystarczy do wyżywienia nienasyconych żarłoków. Oblatuje codzień swój zdobyty rewir i biada na pastnikowi, któryby się chciał wcisnąć do tego obwodu, nawet w jesieni, gdy młode ptaki wędrować poczynają, uderza na nie, pędzi i nie dozwala nawet noclegu. Konstytucja przyrody, bez poprawek, uzupełnień, parlamentów i ministrów, pozostaje w jednej ręce kierowniczej wszechwiedzą; nakreśliła ona prawa, zakresy i granice, które nigdy przekroczone nie bywają i być nie mogą.

Gdy dzieci swoje gołębiarz wychował, wyuczył i zaprawił, gdy jest spokojny o ich przyszłość, pasuje je na rycerzy i rozpędza na cztery wiatry, czyli puszcza na własny chleb, uposażywszy takowe zapewnionym zarobkiem. Dzieci się proszą, tulą, pragną jeszcze ko-

rzystać z doświadczenia rodziców, chcą wspólnie łowić i wyzyskiwać matkę, udają małoletnich, delikatnych, niezdolnych jeszcze do samodzielności i niepodległego bytu, nic wszakże nie pomaga: termin wyznaczony do opuszczenia rodziców nadszedł i dzieci wygnane są bezpowrotnie.

Przypuszczam, że po tej scenie następuje rozczulające pożegnanie z żoną, przyrzeczenie zlecenia się razem znowu na wiosnę — i każde z rodziców obiera sobie państwo, które siłą, mocą i zręcznością broni. W młodych gołębiarzach (Rabcach) zdobywamy często o tej porze nieśmiałość, brak zaufania we własne siły i brak determinacji, niewykształconą samodzielność i potrzebę pomocy. Z tych-to powodów widzimy młode ptaki czasem po dwa razem na łowach i na wędrówkach, i dopiero gdy pierzenie do doskonałości się zbliża, jastrząb już pojedynczo żyje. Inaczej być nie mogło: co najmniej utrzymanie rabusia przez dobę wymaga zająca, dwie kuropatwy, dwa gołębie i t. d.; gdyby ich kilku było na małej przestrzeni, nie wystarczyłoby im żeru.

Do ilości pożywienia przywiązana ilość stworzeń. Często wybieramy się na bagna, znane jako obfite w zwierzynę, a tymczasem w tym roku posucha i ptaki pociągnęły w inne okolice; oczekujemy w ogrodach, gajach i sadach miłych harmonijnych śpiewaków, a koncert się nie udaje z powodu braku muzykantów; w lasach znanych szukamy tychsamych ptaków, a one się nie pojawiły; przygotowaliśmy się na tępienie szkodników, lecz nie przyleciały.

Brak żeru zmusza częstokroć mieszkańców gór do spuszczenia się na równiny. Nie jeden raz badałem Orzechówki, Krzyżodzioby — prawdziwi to górale i huculi ptasi na równinach z powodu nieurodaju na ich pożywienie w górach; z tejsamiej przyczyny bywają przedwczesne wędrówki i jak się wydaje, tajemnicze migracje.

W ogólności ziarnojady i owadożerne ptaki licznie się gnieźdzą, powiedziałbym niemal gromadnie, a to z tej przyczyny, że w czasie lęgu owadów podostatkiem; później zaś zbijają się w rodziny, rodziny w stada i bujają po kraju, posuwając się za pożywieniem. Ilość znaczna błotnych ptaków każe się domyślać słotnego lata, owadożernych zaś suchego, a drozdów urodzaju jagód leśnych i t. d. Według potrzeby, przestrzeń rewiru jest oznaczona dla ptaków; bez tego prawa ściśle wykonanego, mogłoby całe zniesienie być narażone na głodową śmierć. Jastrząb-gołębiarz i szlachetne sokoły, potrzebują co najmniej milę rozległości swego państwa. Orły i sępy i na milę kwadratową nie zniosą osiedlenia równego sobie ptaka; przeciwnie znowu krogulce, sokoliki i błotniaki w bliskości się gnieźdzą czasem z pierwszych po dwie pary w małym lesie. Widywałem po sześć gnieźdzących się błotniaków trzcinnych na stawach z przestrzenią 30—45 morgów, a to dlatego, że obficie i bez wysilenia wyżywić się mogą. Orły, sokoły i jastrzębie cierpią w swych rewirach drobniejsze drapieżne ptaki dzienne, również sowy i puchacze, lecz równego sobie nie znoszą.

Głosu przez cały rok nie wydaje gołębiarz, jak prawdziwy złodziej, aby się nie zdradzić i nie wskazać

miejsca swego pobytu. W czasie lęgu tocząc koła, załośnię kwili: *wie, wie*; napadnięty zaś na zdobyczy: *kiak, kiak*, młode kwiląc, wołają się wzajemnie w powietrzu.

Aby objąć w całkowitości zdradziecką odwagę tego ptaka, trzeba z nim trzymać w klatce inne ptaki i przekonać się, że zawsze czy wcześniej czy później, on je pokona, rozedrze i pożyje.

Gołębiarz był z dwoma Myszołowami w obszernej klatce, najpierw jednego, a potem drugiego zabił i zjadł. Inny młody niezupełnie jeszcze wypierzony, stoczył krwawą walkę ze starą płomykowatą sową i nareszcie ją rozszarpał. Widziałem go w niewoli z Orlikiem krzykliwym i był panem pożywienia, towarzyszył zaś resztkami pozostawionemu żywić się musiał. Największe gatunki sów zamęczy i zostawi niezjedzone jeżeli niegłodny, w głodzie je opierzy i każdą kosteczkę z mięsa obierze. Trzeba go widzieć z ognistą żrenicą, z napuszczonym pierzem, z jedną łapą na łupie, z drugą opierającą się jak do walki o dno klatki, gdy gotów bronić swęj zdobyczy; aby sobie wystawić złość, odwagę i drapieżność tego ptaka, porównać go trzeba z lekkorannym odyńcem przed psami. A znowu głodki, potulny, tchórzliwy, gdy w łapkę *wpadł*; postrzelony, za dnemu psu nie da się wzięść i człowiek ostrożnie za skrzydła lub grzbiet niech go chwyta, gdyż uderzenie dzióbem, a wpojenie potężnych jego szpon w ciało ludzkie straszliwy ból sprawia i rany tworzy.

W części wykazałem już jego pożywienie: jako przysmaczki i dobry wikt, uznaje kuropatwy, kniejotki,

kury, gołębie, bekasy, siewki, słonki, skrzeczki, koszatki, w potrzebie zjada drobne ptaszęta. W zimowej porze, gdy się łowy nie udają, zawsze gawron padnie ofiarą, a niekiedy sroka; wron zaś starych antypatycznie pożywać nie lubi, również szczurów i myszy. Goni wprawdzie kaczki i cyranki, lecz to więcej z potrzeby, jak z przyjemności czyni, i rzadko go w pogoni za kaczką zobaczyć można. W czasie lęgu nader ostrożny, wtedy jego zwierzyńiec jest w lesie w bliskiej okolicy, rzadko kiedy dalsze wycieczki skutecznie. Wtedy przesładuje sojki, kosy, drozdy, gołębi obydwaj gatunki i turkawki, bierze z drzew koszatki i wiewiórki, a z gniazd oblane pisklęta wron. Ma dwa sposoby polowania: wznosi się wysoko i swym bystrym wzrokiem rekognoskuje, a gdy ofiarę upatrzy, jak piorun spada na nią i pożywa ją; lub też wolno, chyłkiem pomiędzy drzewa lata, czasem ponad samą ziemią i z rzadką zręcznością łowi ptaki i ssaki. Widok to wzbudzający podziwienie, gdy upatrzy chwilę, w której z norów wychodzą susły na pożywienie i igraszki; staje on w powietrzu, zatrzepocze chwilę, uderzy — i w okamgnieniu niesie w szponach to miłe zwierzątko. Wiadomym jest, że susły są nader ostrożne, uposażone znakomitym słuchem i wzrokiem i że w dzień ledwie na kilka stóp od swych kryjówek odbiegają, a przy najmniejszym szeleście spieszą pod ziemię; otóż te kilka stóp i ta chwileczka wystarczają gołębiarzowi do złowienia susła. Inne drapieżne ptaki długie chwile krążą, trzepoczą, zanim ofiarę upatrzą; on czy z góry patrząc, czy poziomym lotem posuwając się zobaczy zdobycz, uderzy lub nawróci się szybkim zwrotem i por-

wie; on nigdy nie krąży dla łowów, — to jego igraszki tylko; wiedząc gdzie ma polować, w to miejsce leci i poluje, zupełnie na utropionego zwierza lub upatrzonego ptaka. W lesie więc, kiedy gołębie na jajach się luzują i kiedy z dziupel wylatują, on na nich czeka jak policyant i nic czasu nie traci; rycerz rabunkowy zna zwyczaje i zatrudnienia swych poddanych i znakomicie umie ich wyzyskiwać.

Powyższe zapiski ornitologiczne, mam niepłonną nadzieję, zachęcą każdego wieśniaka do wyznaczenia znacznych premij dla straży leśnej za uбиcie gołębiarza i za wyszukanie i wybranie jego zniesienia; w szczególności myśliwi obowiązani prześladować tego ptaka, pomni, że przez sześć do ośmiu tygodni, w czasie najkorzystniejszego polowania na ptactwo, mogą mieć niebezpiecznych 5 do 6 towarzyszy w pierzu, polujących wspólnie z nimi z nieporównaną zręcznością i wytrwałością. Gdzie się wychowało kilka stad kuropatw*), mo-

*) Płacę za Gołębiarza 1 złr., za odkrycie gniazda 2 złr. i to zaiste niewielka nadgroda. Skryty i mądry rabuś doskonale umie utaić swe gniazdo i zatrzeć ślady swego pobytu w czasie lęgu. Większa część straży leśnej szuka gniazda po wysokich drzewach, w konarach buków i dębów, a on częstokroć uściśle gniazdo w gąszczu niedostępnym, na młodej osicie, lub innym drzewie. Zdarzyło mi się przez trzy lata mieć szkodnika w sąsiedztwie, a nie mogłem wypatrzeć z mymi pomocnikami jego siedziby, i ze wstydem wyznać muszę, że on broił sam, później z dziećmi, a ja nie wykryłem zniesienia. Najlepszy sposób wypatrzenia gniazda, to zasiadać rano i wieczór, gdy gołębiarz najgorliwszy w łowach w różnych miejscach lasów i uważać, w które miejsce powraca. Tę radę stosuję do tych, którzy bezskutecznie zrewidowali wszystkie większe gniazda i opukali staropniowe drzewa, co każdy uczynić obowiązany, gdyż jego

zna być pewnym, że rodzice na tych ptakach zaprawiać będą swą młodość, a co nie złowią, rozpłoszą i udaremnią nasze polowanie.

Jest więc obowiązek do toczenia walki z rabusiami i prześladowania ich, wyuczenia się najpraktyczniejszych sposobów do tępienia, aby się u nas nie mnożyły. Najskuteczniejszy środek mamy w wynajdywaniu gniazd, odstrzelaniu rodziców i niszczeniu zniesienia całego. Jeżeli już nas nieszczęście prześladowało do tego stopnia, że się wśród nas wychowało sześciu złodziei, wtedy trzeba się uczyć ich zwyczajów, godzin przeznaczonych do polowania i pory dnia do napadów. Gołębiarz systematyk nader rozumny; do tej chwili, w której nie

gniazdo czasem małe, a czasem znowu gnieździ się w obcych gniazdach. W obszernych lasach według innych spostrzeżeń, niema potrzeby szukać go w głębokich borach, on pilnuje krawędzi lasów, aby miał ułatwione swe wycieczki i mógł polować w lesie, w polu i na łąkach. Niestety brak nauki, chciwość, a niezbyt wielka sumiennosc, powoduje wielkie i szkodliwe nadużycia przy tępieniu jastrzębi. Mianowicie gajowi i strzelcy wybierają jaja i pisklęta z gniazd myszołowów pospolitych i myszołowów pszczołojadów, licznie u nas zamieszkujących tesame lasy i gaje, co nasz rabuś, a tém nadużyciem wielkie szkody gospodarstwu wyrządzają. Po szponach i dziobie można poznać wprawdzie jastrzębia gołębiarza, lecz niejedni się pomyli i zapłaci nadgrodę za to, że mu szkodę zrządził zabiciem pożytecznych ptaków. Kto więc nie zna dokładnie rabusia w pierwszém pierzu, to jest Rabca i doskonałego ptaka, niech sobie sprowadzi wypchane, lub każe wypchać jastrzębie w obu barwach, aby pomyłek szkodliwych i oszukaństw nie było. Niema dosyć ofiar, aby sobie zabezpieczyć chów drobiu i zwierzyny, mających już rozlicznych nieprzyjaciół i nader niesprzyjający nasz klimat. I tak na wiosnę późno się wegetacja budzi, mijają długie tygodnie zanim zboże i rośliny w górę strzelą, gdzie więc niema w gąszczach schronienia, kuropatwy są na widowni dla jastrzębia.

będzie płoszony, lub w której zabraknie przedmiotów do łowienia, on co dzień dwa razy przylatywać będzie z tej samej strony, zasiędzie na temsamém obserwatorium, w to samo miejsce poniesie złowioną ofiarę i tam ją spożyje. Nie mamy więc znacznych trudności, jeżeli czas wystarczy do ubicia rabusia, pilnując przylotów i odlotów, lub jego sali jadalnej, byle być zupełnie skrytym, gdyż jego bystry wzrok zaraz niebezpieczeństwo wskaże i udaremni zasadzkę.

Niemcy mają różne sposoby łowienia szkodników i cierpliwość, która nam się niestety zawsze przebiera. I tak na poły *) łowią jastrzębie dając na ponętę białe chodzące ptaki, czy kurczęta czy kury. Strzelają nad puchaczem, chociaż to rozumny gołębiarz rzadko kiedy na strzał przyleci. Kto zatem czeka na jastrzębia, musi się wstrzymać od strzelania do innych drapieżnych ptaków, wron i srok, rozumny szkodnik usłyszawszy bowiem strzał, lub zwiertzywszy dym i woń prochu, już skombinuje niebezpieczeństwo i pewnie nie przyleci. Łowią również na potrzaski z dubeltowem dnem, na wierzchu zastawiony potrzask, a pod spodem siedzi w klatce gołąb. Taki potrzask stać ma na konarach

*) Sieci leżące na ziemi, które za pomocą sznurów powstają, spadają łącząc się szczelnie i przykrywają ptaki; pomiędzy leżącymi połamami biegają na nitkach lub szpagatach uwiązane wabiki, a na jastrzębie białe kurczęta lub gołębie. Są to takie sieci, których używają ptasznicy do łowienia ziarnojadów i kwiczołów w późnej jesieni, kto na takie sieci łowi jastrzębie, niech się przygotowuje na niespodzianki, gdyż często silny i impetyczny ptak porwawszy sieć, odzyska wolność.

drzewa, na których jastrząb często siada i musi być farbą koloru kory drzewa umalowany.

Łowią go na szpis, czyli na strzałę; istny to samopał: żelazny pręt szpiczasty przymocowany do wysokiej żerdzi, lub do wierzchołka drzewa, pod nim w umalowanej klatce lub w drucianej siatce siedzi biały gołąb. Jastrząb zoczywszy ofiarę, z impetem uderza na gołębia, a nie spostrzegłszy ostrzej strzały, przebija się na takowej. Widziałem ja wprowadzić często nastawione samopały, wszakże nigdy na nich przebitego gołębiarza; rycerz nasz rabunkowy za mądry i za przebiegły, żeby się łatwo dał zwodzić. Przypuszczam, że tu i owdzie, może i na ciągu, gdy rabce migrują, jakiś jastrząb samobójstwo popełni, lecz taki wypadek zaliczam do wyjątków.

Ludzie w ogólności, my zaś w szczególności, dziwnie łatwowierni, pełni zaufania i nadziei, łudzący się bez przerwy, oglądający się za cudami, niespodziankami, wyglądający ustawicznie nadzwyczajnych wypadków, — bywamy łowieni na lep obcy, na potrzaski i niszczeni samopałami. Teorye zagraniczne, to rzeczywiste ponęty dla nas: nie badamy, czy w zastosowaniu okazały się pożyteczne i możliwe, przyjmujemy je jako skarb zdobyty. Formułki dla nas błyskotkami i cackami; gdy inni niemi się bawią i drugich oszukują, my je przyjmujemy jako aksjomata. Od czasów carycy Katarzyny, Napoleona pierwszego, do najnowszych czasów, łowią nas jak wróble na plewy; lecz co jeszcze dziwniejszego, że my nastawiamy samotraski i sami się łowimy, przygotowujemy samopały na drugich, a one nas zabijają.

Już o dawnych czasach na schyłku XVIII wieku i początkach XIX wieku mówić nie chcę, bo trzeba szanować popioły ojców naszych, *de mortuis nisi bene*. Lecz przypatrzmy się tegoczesnym wypadkom w Galicyi.

Wolność prasy w narodach dojrzałych, niepodległych, spokojnych, szanujących prawa, w społeczeństwach oświeconych, zwartych i zorganizowanych silnie na jednolitych podstawach, ma z pewnością swe dobre strony; nas zaś zbałamuciła, nas rozjątrzyła, rozdzieliła i zniechęciła w części do wytrwałej pracy, do służby krajowej i do systematycznego stopniowego rozwoju. Już nieszczęśliwem naszym położeniem jesteśmy w zwątpieniu, potrzebujemy kierowniczej ręki, opatrznoscowego umysłu jednoczącego, jesteśmy rozdrażnieni do gorączkowej nerwowości, niecierpliwi, a z natury niewytrwali: a tu prasa chłoscze nie zgłębiwszy zawsze winy, krytykuje, wydrzeźnia i wyśmiewa, szkaluje, burzy i neguje; a tak rzadko łagodzi, zwołuje, jednoczy i zachęca, tak rzadko udziela zdrowej rady, stawia afirmacje, odkrywa twórcze siły. Dziennikarstwo musi mieć różgę, lecz w ojcowskiem sprawiedliwem ręku; mieć musi również zachętę i nagrodę; nie dosyć bowiem chłostać, lecz trzeba uczyć, poprawiać i kierować; karą ustawiczną, ironią, żartami, satyrą zaprawioną kolumnią, nie wykształci społeczeństwa i nie skieruje ku pożytkowi. W ostatnich latach mnożą się polityczne dzienniki i częstokroć żyją życiem motyla i giną: brak wykształcenia, poglądów rodzimych, brak wierności dla programów przyjętych, brak sił twórczych i przedmiotów, brak i kierunku, a w końcu brak piszących i czy-

tających; młodzież ciśnie się po ukończeniu szkół, do zawodu pokusznego dziennikarstwa, widzi tam berło przewodnictwa, łatwy zarobek i świetną przyszłość. I jak Napoleon o swoich grenadyerach mówił, że w torniistrach każdy ma buzdygan marszałkowski: tak u nas dziennikarz, zapatrując się na stosunki zagraniczne, widzi się w przyszłości szefem, kierownikiem, posłem i ministrem. Mijają złudzenia młodocianego wieku, dziennik w inanicyi swój żywot zakończył, a młody literat szpaltowy, zniechęcony, zubożony, swego zawodu wprawdzie prowadzić nie może, innego zaś nie jest w stanie i nie chce obrać, bo żaden nie odpowie stopniowi roznamiętnionej miłości własnej i usposobieniu, przyzwyczajonemu pisać arkusz lub dwa na dzień, biorąc do pomocy zagraniczne pisma — i być wpływowym człowiekiem, działającym na opinię. W tym zawodzie gdyby z pompy tryska zawiść, nienawiść i chęć przesładowania współzawodnika, który mu zawsze stoi na poprzek jego drogi. U nas nie ścierają się opinie poważnie i zgodnością, lecz do upartego biją się i drapią, a bywa też, że się i poplują, jeden drugiego nie przekona, różnicy zdań nie wyjaśni, rozdział się zwiększa do tej chwili, w której jeden zginie. Nie jest-to popularne, co wyżej napisane, wszakże niemniej prawdziwe; i kto bezstronnie i z uwagą badał dziennikarstwo lat ostatnich, szepnie mi do ucha, że to prawda, wszakże tego głośno wypowiedzieć nie wolno. Wielu zdolnych i zacnych młodzieńców rzuciwszy się w otchłań tego zawodu, zubożyło urzęda nasze, instytucje i przedsiębiorstwa. Ten samopał trafił w nas centrownie.

Powieściowa literatura dla każdego umysłu przystępna i zajmująca, ona kształci, barwi, rozrywa, miły daje odpoczynek po pracy, obznajmia społeczeństwo z historią, kreśli obrazy przeszłości, przedstawia w różnych wiekach narody i tychże ciekawsze epoki, daje nam szkice rodzin, ich cnót, wad i obłędów — kształci podrastające generacje na tle rodzimém, zaszczenia miłość ojczyzny, chęć bronienia jęj ofiarą i poświęceniem, zaszczenia szczytną dumę na podstawie jęj przeszłęj lub terażniejszęj potęgi, uczy bawiąc, kieruje niewidzialną nitką. Wobec narodu potrzebującego wskrzeszenia, zachęty i przykładów godnych naśladowania, zdawałoby się, że literatura nasza obowiązana wydobywać z przeszłości to, co świetne, zacne, szlachetne, naśladowania godne i rycerskie; zdawałoby się, że ona rysować ma dzieje narodu wzbudzające uznanie wobec świata, a nie pogardę, współczucie, a nie zaś niechęć do nas. Najbystrzejsze umysły, najzdolniejsze pióra, najrzęczniejsi powieściopisarze silą się, aby z spleśniałych aktów wywlekać narodowe brudy, składać dowody naszëj niezgody, popełnianych zbrodni i naszëj niemocy! Rzucają nam obrazki skandaliczne z życia rodzin, a prowadząc z niemoralności w niemoralność powieść do naszych czasów, przedstawiają społeczeństwo nasze w świetle wzbudzającém wstręt, gdyby do zgnilizny! Czy kreślone nam obrazki z dawnęj i dzisiejszëj Polski, mają wzbudzić do nas zaufanie i uszanowanie dla upadłego narodu, czy wznieść myśl, że zasługujemy na niepodległość i że godni jesteśmy potęgi? Większa część powieści tak przesiąkła miazmatami z zachodu wiejącami,

ze nieprzystępna dla dziewicy, a nawet dla młodęj niewiasty. Nic nawoływanie nie pomoże, bo skandal płaci — i nasuwa się pytanie: na kim większa wina ciąży, czy na autorach, czy na wykształconęj publiczności czytającęj. I znowu strzela samopał do naszych młodych generacyj!

Gmina jest skałą i na nięj zbudujemy nowe społeczeństwo. Zaiste gmina jest i być musi podstawą i zdrowiskiem narodu, lecz gminę musimy wychować, jak jednostki i rodziny. Uczucie i obowiązek wymagało usamowolnienia włościan, z radością wykonaliśmy ten czyn sprawiedliwości, z chlubą i pożytkiem go utrzymujemy i utrzymać pragniemy. Słusznie nadaliśmy równouprawnienie wszystkim mieszkańcom Galicyi; lecz prawo nadało władzę i wolność przedwcześnie i bez przygotowania, zaprowadziło zastój niepojęty, zaszczeniło nieposłuszeństwo dla władz, lekceważenie prawa, krnąbrność, zgniłe lenistwo i nieład w gminie. Urzęda gminne oficjalnie nakładają słuszne dodatki do podatków, pokątnie gniją niemiłosiernie członków gmin. Sierocińskie majątki na niebezpieczeństwo wystawione, bez opieki i kontroli; kasy pożyczkowe i szpichrze gminne wypróżnione; szkoły zostają bez uczniów, dzieci wysyłane przez próżniaczych rodziców na robotę; w miejskiem kasynie przy garncu pokrępiającęj gorzałki ustawiczne narady i rozsądzania spraw na korzyść arendarza. Wezwania starostw i Rad powiatowych idą do skrzynek z uszanowaniem między szaty świąteczne, bez obznajomienia się z treścią tychże — i rozporządzenia zostają w teoryi bez wykonania. Na wiosnę i w jesieni

podróżujący po drogach gminnych, ma zaiste czas i usposobiony umysł do rozmyślania nad stosunkami autonomicznymi naszego kraju i nad samopółem kaleczącym społeczeństwo wiejskie.

Upominaliśmy się o własne prawodawstwo, udzielono nam takowego w aptekarskiej dozie — i jeszcze téj małej ilości na pożytek kraju obrócić i wyzyskać nie umiemy; stuletnia niewola wykształciła w nas jałowość. Upominaliśmy się o konstytucyę, pracowaliśmy dla niej wiernie i z zaparciem siebie. Dali nam niejedną z przyprawką i bez przyprawki, a którąkolwiek przyswoić usiłujemy, gniecie nas i drażni, zmienia dawne stosunki, a żadnych trwałych nie ustala. Gdyby magnes olbrzymi do środka przyciąga, istny wampir nienasycony, a zawsze głodny, zostawia w krajach niemoc, nędzę i bezwładność, sztuczna potęga osłabia wszystkich, środka swego zaś wzmocnić nie zdoła. Stojąc na błędnych podstawach, bez uczucia sprawiedliwości, bez uwzględnienia potrzeb ludów, wyzyskując, a nie uposażając, wytworzył ów środek, o którym mówiliśmy, i zniechęcającą stagnacyą, wyłonił zwątpienie i niechęć. Złapaliśmy się w potrzask na niemieckiego wabika!

Z górą przez lat 30 wołaliśmy bez przerwy: Galicya ginie przez brak kredytu i brak kapitałów, te złote jaja do kraju sprowadzone wytworzą bogactwo, dobrobyt, jednem słowem zawita od wieku oczekiwany raj ziemski. I jak w bajce uczepiła się kiszka u nosa baby, tak nam poszedł za skórę wyczarowany kredyt. Napływały nader drogie kapitały, mnożyły się banki,

jak gdyby po deszczu, zamożniejsi zaczęli maczać ręce w tém nowém, wygodném źródle, ubierać się w hałaty, nawet szwargotać po żydowsku. Arena szeroka, bo od Lwowa do Wiednia, więc miejsce dla wielu, plon obfity, pracy żadnej, życie wygodne, rozkoszy wiele, różowa przyszłość pełna nadziei, a zatém hasło było: wydzierżawiać i sprzedawać ziemskie majątki, spieniężać Listy zastawne i papiery indemnizacyjne, zbierać gotówki ile można i spieszyć do tego młyna, co szmaty przerabiał na banknoty. Kto nie grał i nie spekulował, ten wstecznik, litość wzbudzający, słaba głowa, niedorośla wymogom naszego wieku. Świadomi i nieświadomi, uczciwi i eksploatorowie, starzy i młodzi, bogaci i zamożni, ba — biedni i nędzarze, wszystko spieszyło wyciągać rękę do fontanny, wydającej promień złoty.

Rozważni i rozsądni z nieufnością patrzali na te banki, jak lisy na ponętę zastawioną na żelazie, widząc to stręczenie pieniędzy, niemal prośbę, aby pożyczano! Gdy zaś zawsze słaba chwila przychodzi na człowieka w jego życiu: więc tu nieurodzaj był przyczyną, tam i chęć spekulacyi z produktami, a przedewszystkiém rozpowszechniona myśl zaprowadzenia i podtrzymywania *przemysłu za pożyczane pieniądze*. Pożyczano więc na 7—8%; banki korzystając, że już nasze wróble i na plewę łapać się dają — podnosiły procenta na 10—12—14%; wierzyciele upojeni łatwością dostawiania pieniędzy, brali i brali, płacili 10, a zarabiali 5, lub co gorzej, tracili procenta i kapitał; ledwie po dziesięciu latach, jak babie kiszka u nosa, tak nam ten drogi kredyt ciężzyć począł, lecz wzięwszy jego kajdany, nie

łatwo się było z nich oswobodzić. Tu z jednej strony dobroczynna tegoczesna lichwa, z drugiej porzucona chlebobajna ziemia; lichwa jak czort trzyma ofiarę, ziemia odpycha wyrodnego syna, który własnej matki nie umiał szanować i na pastwę ją cudzoziemcowi rzucał, gdyby na bezczeszczenie; schodząc szczebel po szczeblu z téj złotój drabiny, zaszedł dłużnik do nędzy lub nieuczciwości.

Nauka ekonomii politycznej, miała być kotwicą dla ustroju finansowego, ona miała unormować stosunki i porządek stały, tamę postawić nadużyciom, usunąć nędzę, zabezpieczyć zarobek, wytepić pauperyzm, ulżyć zgniecionemu pracownikowi i kontrybuentowi. Impuls dany przez niepospolite umysły jak Quesnay, Smith, Malthus i wielu innych ekonomistów, rzucił potężny zastęp ludzi na nową utorowaną drogę, wskazując w mgle zostający cel; usamowolnili kapitał, wskazali nowe źródła dochodu, sposoby mnożenia pieniędzy, usunęli wszelką kontrolę nad konkurencją, obrotem i biegiem pieniądza. Zręczność, oszustwo, a bierne stanowisko rządów, zastęp bogatych i wpływowych ludzi: te czynniki wytworzyły potęgę, z którą przez długie lata liczyć się i walczyć wypadnie. Krocie zamożnych straciło mienie, krocie opuściło swe dobroczynne warsztaty, uboższych ta lawa finansowa zniszczyła i rozpaczyła, nareszcie popchnęła do socjalizmu, gdzie zawsze nędza prowadzi, jeżeli tylko okoliczności i sposobność ten kierunek wskażą i dozwolą. J ujrzelśmy nieznane bankructwo, tak nazwane «krachem.» A że my wszystko złe naśladować musimy, byle za postępową Europą w tyle nie zosta-

wać: więc i myśmy zakładali banki, grali na giełdzie, spekulowali na papierach, pożyczali na lichwę, walali się w nieczystych przedsiębiorstwach, lubowaliśmy się w gründerkich zyskach, ssali akcyonaryuszów — i skrachowaliśmy się jak najdokładniej!

Ten samopał doskonale trafił, jedna pociecha nam zostaje, mianowicie: że każdy przyznać musi, że stanęliśmy na wysokości postępu naszego wieku.

Zdobycz przyniesiona z zachodu, owa pozostałość z rewolucyi r. 1779, niepospolicie nas raniła. Od 35 lat część polskiego społeczeństwa i publicystyka wysilała się na dowody, że szlachta się przeżyła, że jest sprawie szkodliwą, niedołączną, zgniłą i zdradziecką, że ona jedynie hamuje prace narodowe, stoi na przeszkodzie postępowi, a zatem od wpływu politycznego usuniętą być powinna, gdyż tradycja jej nie pozwala iść w parze z nowoczesnymi ideami. Wypadało ją zubożyć, wyśmiać, pyłem obrzucić, sarkazmami karmić, straszyć, w służbie krajowej stawiać jej trudności, a wreszcie ubezwładnić ją. Nastawiono samopał. Wpływ ten systematycznie wywierany przez długie lata zostawił widoczne ślady: szlachta w części ustąpiła, w części zubożała, poszła w Niemcy i żydy; jedni się z kraju wynosili, widząc się ubezwładnionymi, inni zniechęceni porzucali ziemię ojczystą i osiadali za granicą; szlachcic jako bóbr, łoś i jeleni ustępował z widowni galicyjskiej i niebawem szukać będzie trzeba okolicy, gdzie te szlachetne zwierzątka gromadnie jeszcze żyją, gdzie się mnożą i gdzie mają znaczenie. Wziąwszy na wagę pożytek i szkodę, wątpliwości nie podpada, żeśmy krajowi

niepowetowaną szkodę zrzadzili, usuwając pracowników na niwie ojczystej. Lekarze, kupcy, rzemieślnicy, doktorowie praw, aptekarze, bankierowie, dyrektorowie, prezesowie i kupcy po miastach, nieco się pomnożyli, wszakże z pewnością nie w tej liczbie, w jakiej szlachty ubyło. Zrobiwszy więc sumienny rachunek, pokaże się, żeśmy wyłącznie samopał na szlachtęstawiali, raniłiśmy ją wprawdzie, lecz zadaliśmy śmiertelny cios nateraz społeczeństwu polskiemu. I niebawem zakładać będziemy zmuszeni zwierzyńce, gdzie się ta szlachta mnożyć będzie; falanstery, aby chojna, ofiarna, wykształcona i z ojczyzną skuta część narodu nie wyginęła. Szlachta zrzuciła z siebie odrębność, pozbyła się prerogatyw, niwelacja ją zrównała, nic na nią nie ciąży, wyjąwszy tu i owdzie majątki ziemskie i jej przeszłość, której zatrzeć nie może, w większej części zubożała; pomimo tego stanowiska staramy się wpływ jej udaremnić, a do tej chwili nie mamy ją kim innym zastąpić. Chroń Boże, aby nie nadszedł czas, w którym powiedzą: jest Polska bez Polaków, jak rzeczpospolita francuska bez republikańców. Wystawmy sobie prace narodowe jak w ulu lub w mrowisku: roją się tam pracownicy, a zawsze ich zamało, gdyż przyszłość wymaga olbrzymich zasobów. Nam z wojowników żadnego uronić nie wolno, każdego żołnierza użyć musimy, chorych leczyć, konających, rzekłbym, wskrzeszać, łączyć, wspierać i zwoływać, aby nasz zastęp wzrastał w siłę i w możność, w której się wytwarza wpływ i potęga. W przeważnej większości wyrzekliśmy dla wszystkich współobywateli równouprawnienie, nawet dla tych, któ-

rzy za doznaną gościnność nigdy naszej sprawy nie popierali; ojczyznę naszą przyjęli za swoją, lecz jej nie pokochali, w zamian ją wyzyskiwali. Pieściliśmy ich słowem i czynem, do łona naszego przyciskali, wieniec narodowy na skronie kładli, ziemię im ofiarowaliśmy, a gdyśmy ich pomocy zapotrzebowali, oni nam odpowiedzieli: *kein Geschäft, ihr seid zu schwach!* Szczególny to samotrzask, wpadliśmy w niego na zastawionego udanego brata, doskonale swą rolę w potrzebie odgrywającego. Nastawiliśmy samopały, które dziś w nas biją. Gdybyśmy jeszcze mieli potwierdzić to uprawnienie, to z wyjątkiem części chłopów, uczynilibyśmy to pewnie wszyscy, bo uczucie sprawiedliwości tak nam nakazuje; wszakże ten czyn w ogólności zadał ranę społeczeństwu, a w szczególności wiejskiemu w kierunku moralnym i ekonomicznym. Większe i mniejsze posiadłości przechodzą w ich posiadanie, a nader rzadko powracają w polskie ręce — i to proces nieustający we wschodniej Galicyi, systematycznie i z rzadką wytrwałością prowadzony!

Cóż na świecie może być sprawiedliwszego, jak prawo rozporządzania swą własnością, jeżeli nie jest to ze szkodą drugich? To prawo jest podstawą mienia, bodźcem do pracy, drogą do bogactwa, zabezpieczeniem bytu liczniejszych rodzin. Musieliśmy posiadaczom wiejskim dozwolić: dzielić, sprzedawać, zamieniać, rozdrabniać własność gruntową. Po kilku latach spostrzegamy, że samopał bije w chłopów, niszczy ich, ziemia za bezcen przechodzi w obce ręce, chatki się mnożą po ogrodach, istne obozy walczących — i praktyka u nas za-

daje kłam szczytną teorię. Prawo to utrzymaniem będzie i być musi, jest ono bowiem podstawą własności, której nam naruszyć nie wolno, lecz myśmy to uczynili przedwcześnie, zanim się oświata przy pracowitości rozpowszechniła, zanim się moralność, trzeźwość i dobrobyt ustalił, zanim komasacja gruntów nastąpiła, a w końcu zanim drobna własność otrzymała pewną hipotekę dającą kredyt, a zabezpieczającą mienie rolnikowi. W moich oczach widzę, jak przez filtr karczemny przechodzi morg po morgu w ręce arendarzy i spekulantów, w zamian zostawia nędzarzy ze spalonymi kiskami i ze zbydlęconymi umysłami!

I tak liczne gminy cytować mogę, w których pierwotni posiadacze nie mają już własności w $\frac{1}{3}$ i w $\frac{1}{2}$, przeszła ona na własność żydowską i usamowolniony wieśniak w dziewiętnastym wieku staje się białym murzynem w Galicyi — własnością żyda. Proceder ten już srogie ciosy zadał społeczeństwu wiejskiemu, a trwa ledwie od lat kilku; jeżeli nie ustanie, jakże czarną przyszłość przewidywać musimy. Ciemnota, lenistwo i pijaństwo, wobec zamożnej przebiegłości, nie przebijającej w środkach, bo ona w szponach Gołębiarzy podstępnych: jest-to zaiste broń nierówna i walka musi się skończyć jak pod Sadową, gdy walczył bagnet przeciw iglicówce, bez obcej pomocy.

Słyszę od lat 20, że nam dzierżawców potrzeba, *farmerów angielskich*, poświęconych wyłącznie gospodarstwu. Wychowawcy zagraniczni pragną przekopiować dla nas to, co obce, co tam doskonałe, a co się u nas nie da zastosować i nie puści korzeni w naszą ziemię,

nie zmieni charakteru, a naruszy zwyczaje, te drugie natury. Nam gospodarstwa za mało niosą dochodów, kłopotami trują nam życie, utrudniają wychowanie dzieci, paraliżują prace umysłowe, pleśnią okrywają, szlacheckie rodziny odwodzą od służby krajowej, pętają wolność, majątki naruszają przez to, że więcej wydawać musimy corocznie, jak mamy intraty. Stopniowo głuźmy nasze obowiązki, zacieramy tradycję, rozstajemy się z ludem, targamy ten odwieczny węzeł, zrywamy z przeszłością i szukamy tych dobroczynnych farmerów, mających nam dostarczyć znacznych dochodów i w całości zachować majątki. Wyznajemy z rzadką zaiste pokorą, z rzeczywistym zaparciem siebie, że my niezdolni do gospodarstwa, wyznajemy nasze ubóstwo umysłowe, nasze lenistwo, nabieramy przekonania, że nam wolno próżnować i że ten zawód obywatelski dziś w modzie nie poniża wcale.

Farmer angielski nie pojawia się wprawdzie, lecz tu i owdzie wyciska Niemiec z ziemi, co może — i idzie dalej ssać. Szukamy naszych, znajdujemy bez liku dzierżawców, więc im puszczamy nasze gospodarstwa, ofiarujemy wygodne siedziby nasze tak uroczo umajone w lecie, przenosimy się do miast, żyjemy doskonale, niczem się nie trudnimy; zdaje nam się, że nadeszła nagroda za życie bez pracy. Za nasze lekkomyślne postępowanie gromadzą się wszakże chmury i grozi nam niepospolita burza. Pokazuje się, że nasz brat dzierżawca oprócz sumki na złożenie kaucyi, nie ma ani wkładowego, ani obrotowego kapitału, wydusza z gospodarstwa co może, niszczy budynki, nawozi skowron-

kami, a żyje lepiej jak my; odwiedzają go, on rewizytuje, stypy i chrzciny jedne po drugich, gra i napoje kosztowne ubarwiają życie, a pamięć milczy o terminie raty dzierżawnéj. Prawodawstwo austriackie ślimaczące każdą sprawę, przeciąga proces, dzierżawca się prosi, bo jego żona z dziećmi do zdrojowisk wyjechała z niańką i boną; nasz abdykowany gospodarz pasek ściąga, klnie i przeklina, bo, jak to mówią; na wsi, *To masz*: a w mieście, *Ja kub*; nareszcie z wielkimi kosztami łączy się dziedzic z bratem dzierżawcą, bonifikuje mu poniesione straty pożyczonemi na lichwę pieniędzmi i szuka owego zapowiedzianego farmera, co to miał mu raj ziemi stworzyć. Zjawia się nareszcie ten wymarzony farmer z pejsami i w hałacie, ofiaruje płacić z morgi po 12—14—16 złotych, przyjmuje wszystkie warunki i składa w gotowiźnie znaczną bardzo kaucyę. Nareszcie niebo się otworzyło, szlachcic kwitnie jak brzoskwinia w różnych barwach pod promieniami słońca, toalety żony i córek odnowione; kaucya posłużyła na podróż, bo przecie dzieci coś ze świata zobaczyć muszą i jak Voltaire mówi: wszystko dobrze w najlepszym świecie, tak powtarza szlachcic zacierając z radości ręce.

Dosyć długo swą łódkę ubarwioną flagami różnokolorowemi prowadzi ekspozycyjny dziedzic, wielu mu zazdrości komfortu, wszyscy podziwiają spryt i praktyczność jego. Wszakże niebawem znowu dochody nie mogą dogonić rozchodów, farmer równowagę przywraca i jak w rogu obfitości, tak u dobrodzieja na zawołanie zawsze są pieniądze: szlachcic bierze, bo już sobie życie uregulował, a farmer daje, nareszcie nad-

chodzi chwila sądu ostatecznego, szlachcic potępiony, a farmer wynagrodzony. Zaliczki znacznych sum, bonifikacye weksłami pokryte, raty naprzód zapłacone i te drobiazgi wyzuwają dziedzica ze spuścizny ojców swych i w téj ongi gościnnéj siedzibie z patryarchalną rodziną, zasiada żyd z licznymi krewniakami i śmieje się, mówiąc: jaki ty głupi szlachcicu!

W najszczęśliwszych wynikach dzierżawy może szlachcic wrócić do swéj spuścizny, lecz nie zastaje ani ścian, ani dachów, natomiast ziemię wyssaną jak gdyby przez pijawki; zaciąga długi, buduje i naprawia, a włożywszy znaczne fundusze, dopiero nabiera przekonania, że się przy administracyi utrzymać nie może. Co żyd zniszczył i zdezelował, on wybudował i zrestaurował, w końcu znowu temu dobroczyńcy w dzierżawę puścić zmuszony, bo go długi z lichwą niszczą i podwójnie się w życiu krachuje.

Cóż dopiero powiedzieć o tych majątkach, przez długie lata w rękach żydowskich zostających, a przeznaczonych dla dorosłych dzieci, wychowanych po miastach w szkole dandysów. Nadjeżdża syn, w bujnéj wyobraźni kreśli obrazy czarodziejskiej siedziby: zamek stary lub Cottage angielski, w najgorszym wypadku murowany dom piętrowy, bo przecie on z antenatów się rodzi i w chałupie bez piątra mieszkać nie może, trawniki strzyżone, różnobarwne kłąby kwiatów kołysane wiatrem, udyamentowane rosą, staropniowe drzewa cieniujące siedzibę, po ogrodzie rozrzucone egzotyczne krzewy, oranżerye, cieplarnie, treibhauzy. W domu meble, bilard i biblioteka, w stajni boksy na angielskie

konie, opodal arena do biegu, angielska kuchnia z przyborami, piekarnia dla cukiernika. Nadjeżdża — czy to mara — czy czary? Przeciera oczy i widzi dom mocno skantowany, szyby zastąpione papierem lub deszczułkami, na krzewach wisi bielizna z pętelkami, na staropniowych drzewach siedzą zadumane indyki i kapłony w smutném przeczuciu bliskiego jarmarku, po tych urojonych trawnikach łążą gęsi, gęgając chwałę żydowi. Westchnął i szepnął: tu był najazd tatarski! Myli się, to sprawka naszego farmera. Idzie dalej po stajniach i gumnach, nie spostrzega ani żłobów ani drabin, ani podłogi, to bowiem luksus, który nie płaci; jedna gorzelnia, gdyby piekielna maszyna filtrem toczy wódkę na rozpojenie chłopu, który żydowi bezpłatnie swą pracę daje. Powrócił — stanął przed chylącym się gankiem, na którym kilka rodzin polskich wychowało się, duma, a łąza mu zwilża powieki. Łąza polska, łąza żalu, żałoby, tęsknoty i rozpacz! Dzierżawca, gdyby doświadczony lekarz, zna swego chorego, pozwolił mu bez świadków lustrować, kontrolować i ocenić majątek jemu powierzony, pozwolił się rozczulić, rozpaczać, pozwolił się też i namysleć. Gdy ocenił stan duszy swego chlebowdawcy i uznał, że proces uczuciowy na zakończeniu: wychodzi, jarmułkę podnosi, panicza w rękę ze czcią całuje i patrzy mu w oczy przenikliwym wzrokiem, mówiąc: troszku tu się obejście zdezelowało Jasny panie, lecz to złe lata temu winne, a wysokie raty trzeba było zapłacić, bo termin dla mnie święty, ja żyd uczciwy, wszystko się naprawi, byle wódka i pszenica płaciły. Ja się na Sarę i bachury klnę, że tracę, lecz kontraktu

dotrzymać muszę. Gdyby Jasny pan chciał mi dalej na sześć lat puścić, to ja zakaucyonuję w nadziei, że odbije później stracone pieniądze!

Młodzieniec duma, myśli i zestawia kondycję, nabiera przekonania, że pod temi warunkami gospodarować nie jest w stanie; słabe strony młodości się budzą, pokusa ciągnie między ludzi, młodość nie do grobu, świat szeroki, miasta piękne, przyroda urocza, serce nie śpi, wyobraźnia gra, gdyby harmonijka, krew nie woda, a strach przed samotnością, wstręt do ciężkiej pracy nieznanéj, oto pokusy nie do zwalczenia, jak hartem niepospolitym duszy: a tego u nas brak! Targ w targ, żyd dobroczynny, dziedzic trudności wielkich nie czyni, wchodzi więc do téj szatry antenatów, napili się na szczęście, wsiedli razem do wózka, pojechali do miasteczka, kontrakt napisali i interes ukończony. Młodzieniec pospieszył za kulisy szukać natchnień dramatycznych, później wyjechał za granicę, bawił się i nudził, nareszcie zużył się i powrócił bez pieniędzy do kraju. Jeżeli starszy i mądry, poszedł na Verwaltungsrate, dyrektora lub prezesa jakiegoś towarzystwa; a jeżeli młody i głupi, zaciągnął się z resztą swego mienia, lub z pożyczonemi pieniędzmi do szeregu akcyonaryuszów: trafił, wyczekiwał, a dobrodziej jego zawsze na usługi z pieniędzmi. Ożenił się lub się nie ożenił, wtedy wstępował z jednych związków w drugie, lecz do dziedzicznego majątku już nie powrócił nigdy. Wielu z naszych wpadło w ten samotrzask i złapało się na farmerach angielskich, a pomimo, że drugich widzą w niewoli ze

związaniem skrzydełkami, na tę ponętę i na tego wabika zawsze nasi spieszą.

Kraj bez przemysłu pozostaje w ubóstwie, a gospodarstwa w stagnacji, wywożenie surowych produktów niskiej wartości, a sprowadzanie wyrobionych za drogie pieniądze — oto zbrodnie popełniane na kraju. Prawda to niezbita, więc się rzucamy do przemysłu bez wykształcenia fachowego, bez znajomości gałęzi przemysłowej, którą chcemy zaprowadzić, bez dostatecznego zakładowego i obrotowego kapitału. Sprowadzamy z zagranicy drogich ludzi, którzy tam umieszczenia znaleźć już nie mogli, powierzamy im budowy, warsztaty i nasz kapitał. Preliminarze i plany niedokładnie bywają obliczone: wypada więc pożyczyć na pokrycie niespodziewanej nadwyżki, długami pchać przedsiębiorstwo, zyskiem lichym płacić olbrzymi lichwiarski procent, a nie mieć nawet tego przeświadczenia, że my sami jesteśmy w stanie kontrolować ten olbrzymi obrót. Zakładamy bez nauki i ścisłego obrachunku browary na wielkie rozmiary, młyny parowe, przędzalnie, fabryki giętych mebli, rektyfikujemy spirytusy, cukier i nafty, budujemy amerykańskie młyny, robimy terpentyny i chemiczne wyroby, kopiemy kamfienę, szukamy wosku ziemnego i kamiennych węgli, których nie znachodzimy, a o tych przedsiębiorstwach wyobrażenia nie mamy. Powstają garbarnie, białoskórnicze zakłady, cukrownie i rafinerie, papiernie i fabryki stolarskie na wielkie rozmiary; teorye bywają pełne pokus, więc je wywieszamy na ponętę, a okrywamy je płaszczykiem patriotyzmu i poświęcenia dla kraju, łowimy na nie rozliczne ofiary. Kwi-

tnie u nas przemysł, lecz owoców nie daje, a ogrodnicy z głodu umierają. Krocie i miliony w Galicyi pochłonał ten przemysł bez pieniędzy i wykształconych fachowo ludzi, zachwiał olbrzymie fortuny, a na korzyść naszą i kraju się nie obrócił.

Sukcesyę po tych zakładach biorą żydkowie, uczą się dokładnie rzemiosła, zespalają się do zebrania kapitałów odpowiednich, zawiązują stosunki z zagranicą i rzadko kiedy bankrutują, gdyż to nasze — *jakoś to będzie*, u nich jest wyklęte. Wiedza, znajomość przedsiębiorstwa, obmyślany kredyt, rachunek ścisły, pilność i nieprzerwana kontrola — oto, co tłumaczy, że tam, gdzie nasi toną, oni jak Mojżesz na falach pływają.

Ilość znaczna naszych bankrutuje na tej manowcowej drodze, lecz to nie wstrzymuje drugich, aby bez wykształcenia, bez funduszków dostatecznych, bez ludzi zdolnych i sumiennych, bez źródeł obmyślanych, bez związków z zagranicą zapewnionych — rzucali w otchłań loteryjną swe majątki. Według mego przekonania niema w Europie warunków więcej sprzyjających przemysłowi, jak w Galicyi, lecz do zaprowadzenia przemysłu trzeba się przygotować, uczyć, dostateczne kapitały zebrać, ludzi własnych wykształcić, poznać handlowe stosunki, potrzeby zagranicy i do nich się stosować, nabyć możliwość przetrzymania zimy, złych lat, niskich cen i stagnacji handlu. Z naszym ludzeniem, z naszym „jakoś to będzie“, lada któremu gołębiarzowi ciągnącemu z zagranicy wpadniemy w szpony, lub też w nasz własny potrzask złapiemy się.

Istniała u nas anormalność w sądownictwie, połączonem z władzą polityczną. Wołaliśmy o sprawiedliwość, błagali o niepodległość sędziów, nareszcie rozdzielono nam sądownictwo i ustanowiono sądy powiatowe; istny to samotrzask dla naszych spraw: brak kontroli i kierującej ręki opiekuńczej wytworzył niższe sądownictwo na ten stopień, że większa część ludności boi się téj sprawiedliwości, straciła do niéj zupełnie zaufanie. I tak dobre obróciło się w zło dla nas i tego złego — już nie mamy nawet nadziei naprawienia — jeżeli nie usunie rząd sądów powiatowych, nie pomnoży sądów kolegialnych obwodowych i nie utworzy w gminach sędziów rozstrzygających ostatecznie spraw do wysokości 50 złr.

Ten proceder stawiania samotrzasków i łapania siebie, powtarza się wszędzie; tak rządy, jak instytucje, postawiwszy na drugich samotrzaski, same się w nie łowią.

Jeden z takich samotrzasków widzę w instytucji ogólnego uzbrojenia, dziś niemal w całej Europie zaprowadzonego. Cała młodzież silna, zdolna i robocza, stoi na zawołaniu, aby ruszyć do téj otchłani próżniactwa i zuchwalstwa. Cała młodzież w stanie tymczasowości i oczekiwania, nie ima się pracy, czeka z obraniem zawodu chwili zupełnego uwolnienia, które następuje wtedy, gdy już włos srebrzeć poczyną. Rządy zaręczają, że pokój zapewniony; ludy pragną pokoju, finanse europejskie wymagają tego pokoju, a mimo to siedm milionów żołnierzy stoi pod bronią, a cała młodzież do wojska powoływana. Cierpi gospodarstwo, prze-

mysł i warsztaty, stosunki się krzyżują, produkcya się zmniejsza — nic to nie wpływa na postępowanie wojskowości nienasyconej w poborze młodzieży; zdawałoby się, że jéj miliony wzrastające nie wystarczą. Słaby wzrok, wątła budowa, mniejsze defekta nie uwalniają od wojska, gdyż szpital temu złemu zaradzić może! Szczególny to postęp, szczególne pojęcie wolności osobistej: czy tchórz, czy słaby, czy nerwowy i ze wstrętem do wojskowości, czy znakomity pracownik w innym zawodzie, to obojętne względy dla władzy, bo niwelacya nakazuje, aby każdy młodzieniec karabin nosił, czekał na powołanie, nie słał sobie gniazda, aby nie był pożytecznym, produkcyjnym i twórczym. Praca czeka na młode siły w całym świecie ekonomicznym, a pracowników kleszczami trzyma rząd, nie dopuszczając oddania się rzemiosłu, przemysłowi i gospodarstwu. Każdy zawód szuka i wybiera chętnych, usposobionych i uzdolnionych w tym kierunku; wojskowość smoczą żarłocznością pochłania wszystkich młodych. Zdawałoby się, że idea wolności, zdrowo pojęta, pozwala wybierać zawód każdemu obywatelowi, że obrona własnego kraju jest dla wszystkich obowiązkiem, a przecie inaczej się dzieje: każdy młodzieniec porwany do wojska, później zaś zostaje na zawołaniu, — a te armie, istne milionowe zbieraniny, nie bronią najczęściej granic, lecz pędzone do dalekich krajów w obronie honoru państwa, lub téż do wywarcia presyi na pewne stosunki rządów. W razie wojny ustaje produkcya w gospodarstwie, przemysle i w rękodzielnictwie, ustaje praca i nauka, wytwarza się zawikłanie stosunków dotąd nieznanne. Prusy

popchnęły Niemcy do olbrzymiej wojny, świetnym zwycięstwem ją zakończyły, łupami ojczyznę napełniły, pięciomiliardową kontrybucją uposażyły swe kraje. I ten rząd przodkujący w administracji, mądry, rachunkowy i zapobiegliwy, zdobywszy nieznane dotąd skarby, wpędził mieszkańców w nader przykre ekonomiczne stosunki, zachwiał swe własne finanse. To zło, co działo porwanie półtora miliona ludzi pracy i zarobku, nie mogło być pokryte miliardami wyduszonymi na zwyciężonej Francji. Laurami się okrył, wszakże samopał dotkliwie zranił każdy rząd niemieckiego państwa. Monarchowie od czasu wojny z Francją wpływają na utrzymanie europejskiego pokoju, dyplomacya wysilenia czyni, aby uniemożliwić wojnę, w przekonaniu, że finanse żadnego państwa nie mogą téjże wytrzymać, a ludy już tak uginają się pod ciężarem podatków; zaś eksploatacja tegoczesnych operacyj finansowych, vulgo nazwanych pożyczaniem pieniędzy na lichwę, z każdym rokiem trudniejsza. A przecie każde państwo wysilenia czyni, aby mnożyć ssące pijawki i beczynnych trutni. Tradycyjny rycerz rabunkowy, uzbroiwszy się najpierw i najsilniej, gotowy do napadu w każdej chwili, chciwy a nienasycony, zmusza inne rządy do wyrównania sił zbrojnych — i oto ciężar gniotący cały kontynent i nareszcie musi nastąpić epoka, w której, jak za Napoleona I, zjednoczą się słabsi, aby powalić bezwzględnie ciężącego na Europie olbrzyma.

Państwo, do którego należymy, dąży w pocie czoła i zadyszane za tym nieszczęśliwym postępem wojskowym, lecz administracya finansów w przeszłości, wy-

zyskująca a nie podtrzymująca produkcji, nie pozwala stanąć na wymaganej wysokości. Armia pochłania budżet, a nie jest w stanie obronić granic, ani stawić skutecznego oporu dwom cisnącym sąsiadom. I tak w otchłań padają miliony, a bezpieczeństwa niema i być nie może.

Dziwnie bo się téż kształtują te nasze stosunki, pędzone prądem wymyślonego postępu, mającego zabezpieczyć dobrobyt, pokój i swobodę narodom. Wątpliwości nie podpada, że rządy i poddani tego pragną, a działają w odwrotnym kierunku. I tak milionowe armie wstrzymują pracę, zmniejszają produkcję, ubożają ludność, zniechęcają ogół i wywołać muszą, czy wcześniej czy później, opór, z którym się liczyć wypadnie. My sami szybko krocząc za postępem tegoczesnym, gdyż nigdy w tyle zostawać nie możemy z powodu, że nam wbili w głowę, a my uwierzyli, że my Polacy na drodze wolności jesteśmy przodkującym narodem. Więc należymy do rozlicznych stowarzyszeń, towarzystw, zgromadzeń, banków, przedsiębiorstw, przyjmujemy wszystkie zobowiązania, wszakże się z niemi nie liczymy i takowych nie wypełniamy i wypełnić nie możemy, oddając niemal wszystkie dni życia, rozbijając życie rodzinne i zaniedbując swe warsztaty. Włączywszy w swe życie służbę wojskową, posła, delegata, członka Rady powiatowej, komisji katastralnej, służbę w sądzie przysięgłych, w różnych delegacyach ogniowych i towarzystwa kredytowego, służbę oświaty ludowej, dotąd zostającej w zaciemnieniu widocznym, a chcąc być na wszystkich zgromadzeniach i komisjach, zaiste rok posiada za mało dni i nikt wydołać nie może przyjętym

obowiązkom. Z tych-to przyczyn każda instytucja u nas chroma, ludzie się zużywają bezpożytecznie, ubożą sobie, rodziny swe, społeczeństwo i kraj cały, jako odsunięci od wytrwałej, produkcyjnej pracy. W niczem nie znamy miary, zaczawszy od gorączkowej porywczowości i uniesienia, a skończywszy na zgniłej beczynności przy zwątpieniu. Istna mania stowarzyszeń opanowała nas, wiatr ją z zagranicy przyniósł, zaraził nią miasta, a później i siedziby wiejskie. Wszyscy się stowarzyszają, jedni jako drapieżni, inni jako spokojni, reszta bezmyślnie — z mody i próżniactwa. Stowarzyszają się majstrowie i rzemieślnicy, literaci i dziennikarze, doktorowie i aptekarze, pocztmistrze i telegrafisci, gospodarze i przemysłowcy, i bezpieczni i niebezpieczni; zdawałoby się, że się stowarzyszą paupry na ulicy i babki pod kościołami. Radzą jeżeli jest komplet, lecz najczęściej nie radzą dla braku kompletu i rozstrzelonych zdań, bo my potęgę indywidualności podnieśli do tej wysokości, że gdzie na zgromadzeniu zebrało się trzech, to tam dwóch zawiele. Co pożytku działała ta mania ustawicznych zgromadzeń i porad, co ludzi zubożyła, niech osądzi czytelnik, badający od lat kilkunastu nasze społeczeństwo. Stowarzyszenia po ludnych miastach mają ułatwienia wielkie; nieznaczną to więc ofiarą przejść z ulicy na ulicę, poświęcić wieczorek bałamucącym dyskusjom, lecz te ustawiczne zgromadzenia po wsiach i miastach powiatowych, to zaiste męka nad mękami — dla gospodarzy straty materialne znaczne i marnowanie drogiego czasu, mającego być w większej części poświęconego gospodarstwu i rodzinie. Doskonale nam odrysował Ale-

ksander Fredro, syn, tego gospodarza należącego do wszystkich instytucji, do wszystkich stowarzyszeń, rozbijającego się ustawicznie i nareszcie rozbijającego fortunę i swą rodzinę. Takich okazji można liczyć na setki w kraju, z większymi lub mniejszymi zdolnościami, wszakże z równą miarą próżności i ambicji, z małą siłą produkcyjną, a zawsze ubożący jako jednostka, rozbite i ubezwładnione nasze społeczeństwo, służy krajowi teoretycznie, a w praktyce jemu szkodzi. Nam trzeba czynu i pracy, nie porad i dyskusyj; nagrzeszyliśmy już dosyć językiem! Cóż dopiero mówić o naszym sejmie trwającym od lat blisko piętnastu. Co o samopałach i potrzaskach, które nastawił; co o posłach ranionych i złowionych na różne wabiki i ponęty, zaczawszy od obiecanej jedności w kraju przez dostojnika kościoła, a skończywszy na rezolucji, — co o złudzeniach, nadziejach, co o rozczarowaniu i zwątpieniu, co o rozbiciu wybrańców narodu na jednostki, co nareszcie o tym zastępie kierowników bez wodza i szefa, błakających się po otchłani polityczno-społecznej, szukających światła, twórczości, pomocy dla biednego zubożonego kraju, równowagi i środków zjednoczenia, szukających niestety najczęściej w sobie samych, bez ustępstw, jak gdyby w każdym z osobna skarby spoczywały, lub też pragnąc mieszkańców i instytucje ubrać w cudzoziemskie szaty, stworzyć ustrój zagraniczny. Jak woda pod wodospadem burzy się i mąci, pieni i łoskocze, tak wybrańcy hałaśliwie radzą, wzajemnie się paraliżują, usiłują górować jedni nad drugimi, a prądem pochłonięci padają, — zawsze silni w negacji, a nie mocni w afirmacji, toczą

bezwocną walkę ze sztucznie utworzonym elementem i jak ta woda, wypieniwszy się pod wodospadem, spokojnie uchodzi, tak wybrańcy znużeni ustępują z sali, niosąc w duszy nieokreślony myślą ciężar zwątpienia; przy składzie i usposobieniu sejmu naszego, istna walka z wiatrakami lub z kondotierami płatnymi, których zwalczyć ani usunąć fatalność nie pozwala. W bezwocnych zapałach ścierają się i zużywają niepospolite jednostki, wszakże twórczości zaszczyć nie mogą na gruncie rzeczywiście ojczystym! Brak nam zgody i jedności, brak zaufania i miłości, brak poczucia obywatelskiego i braterstwa, brak uległości wobec wyższości krajowej: z tego wynika rozstrzelanie i jałowość pracy, bezpożyteczne ofiary i niszczenie wzajemne. Z tego najstraszniejsza rana społeczna — zwątpienie we własne siły, spieranie się z dziecięcą uległością o władzę, w przekonaniu o swój niemocy i bezradności. Gdyby wróg narodu i kraju podszeptem szatana mógł wytworzyć zgubne dla nas prawo wyborcze, to z pewnością nas obowiązujące z czystego źródła nie wychodzi, nie opiera się na potrzebach ludności, na stanie oświaty, nie dozwala pożytku, organizacyi, podniesienia dobrobytu, nie wskazuje drogi do pracy przy zjednoczonych siłach. Gdyby czadem odurzeni, chciwością bezrozumną miotani, z zatrutem zaufaniem do kogobądź światlejszego, napełnieni jadem sztucznie zadany, włóścianie w liczny zastęp, gdyby ciężkie kule żelazne, na sejmie się wieszają i nie dozwalają ani kroku naprzód. Ciemny umysł, drażniony podsycconemi namiętnościami, nie pojmuje, nie rozbiera, nie przyswaja sobie kwestyi pod

dyskusję podanej, lecz stawia sobie aksjomat: co nowe i co zmienione, musi być gorszem niż istniejące, a zatem hasło: nie dopuszczać zmian. Prawodawcy, administratorowie, organizatorowie kraju, doradcy i przewodnicy narodu, nie umiejący ani czytać, ani pisać, gniołający ołowianym ciężarem prace komisji rozlicznych; — a cóż dopiero za karykatura przedstawia się w Radzie państwa, gdzie delegaci zostają przez długie miesiące na niemieckim kazaniu, nie znając języka, w którym się toczy dyskusya i uchwalają prawa dla prowincji austriackich.

Nikt nie uwierzyłby, że w taki niezgrabnie zbudowany potrzask łapią się ludzie i że władza zachwala pożytek, korzyść i swą twórczość! Od roku, jeżeli się nie mylę, 1856, celem podtrzymywania nowoutworzonego, odrębnego i samoistnego narodu w Galicyi, obsadzano księżmi wszystkie administracye i kapelanie, nie uwzględniając odpowiednich dotacyj dla duchownych z licznymi rodzinami. Ztąd znaczne ciężary na parafianach, olbrzymie pokusy szukania pomocy materialnej na zewnątrz, w zamian dziecię, niemowlę, dostało piastunów i nauczycieli. Proceder się udał, rozdwojenie nastąpiło, kiełkujące zaufanie uschło, ferment się rozpostarł na przestrzeni dwóch trzecich części Galicyi. Aby się ferment nie uspokoił, wypadało każdego księdza pasować na wyborcę i wybieralnego, przymknąć oczy na środki jakich używają, by wstąpić do Sejmu i Rady państwa, puścić cugle namiętnościom — i znowu lekarstwo, paraliżujące pracę i pożytek, skutkowało. Widzimy kapłanów roznamiętnionych, niemal kłatwę

w ustach niosących, z jadem w słowach, gdyby złym duchem napełnionych, usposobionych do egzorcyzmowania. Tu nie poznasz kapłana z miłością chrześcijańską, ze słodyczą, pobłażaniem i błogosławieństwem, lecz tych, co z goryczą i ze złością wołają: »My tu zastępnikami półtrzecia milionowego narodu« — narodu, który o tém szczęściu nawet wiedzieć nie chce!

Jeżeli mnożono bez rachunków i myśli o przyszłości duchowieństwo grecko-unickie, to rzeczywiście, że owieczki błakające się bez duchowego kierunku, potrzebowały pasterzy, to głoszą konsystorze i władze; pomimo że te wszystkie dziś obsadzone głodowe kapelanie i administracye, ongi nie posiadały księży, a przecie ludzie z pomocą duchową wstępowali w śluby małżeńskie i kroczyli do grobu, dzieci dostępowały łaski chrztu świętego. Zdawałoby się zdrowemu rozumowi, że ksiądz przeznaczony na kierownika ludu, przeciążony obowiązkami, skarżący się na ciężar pod którym upada, nie może mieć czasu, ani powołania, rzucać się w tłumy publicznego życia, w którym kazi swój charakter kapłański, wzbudza namietności, zapiera się miłości chrześcijańskiej, jest bojownikiem, lecz nie dla walczącego kościoła. Zapomniał o kapłaństwie, o przysiędze, o obowiązkach, zapomniał o swych owieczkach i o cerkwi i o nabożeństwach, podnieca zawiść, karmi się złością, miota gniewem i kłam zadaje świętym zasadom wiary naszej. Kościół, obrządek i moralność obrażona, wiara w ludzie zachwiana, gdyż ocenił on trzeźwo środki i broń używaną; spostrzegł, że przewodnicy nie apostołują miłości chrześcijańskiej, lecz za-

wiści i zemście, stracił zaufanie, w części ciepłik religii, potargał uzdę, a zachował zaszczerpione namietności i przepełnił się chciwością rozkiełzaną: stał się jastrzębiem drapieżnym, bez jego zdolności i odwagi i przebiegłości. Wątpić nie można, że interesa kościoła w ciążach prawodawczych wymagają przedstawicieli i obrońców, wszakże te miejsca zajęte przez dostojników kościoła warują dostatecznie interesa, stanowisko i przyszłość. Na cóż więc оголаć z księży parafie, osierocać owieczki, zostawiać je bez kierunku i opieki? Sprawa to wielkiej doniosłości, gdyż ciężar to nie mały na teraz dla kraju, a prawdopodobnie mogący się znacznie powiększyć w przypuszczeniu, że każdy z nas nabierze przekonania o konieczności zabezpieczenia dostatecznych dotacyj dla rodzin księży duchownych. Chętnie kraj poniesie ofiary, byle księża poświęcali się oświeceniu religijnemu i rozkrzewianiu moralności pomiędzy ludem, a nie rzucali się z wściekłością w męty otchłani polityczno-socjalnej. Rzeczywiście politycy w sutannach nastawili na nas samopały, wszakże dziś widzimy, że broń kieruje się ku nim odstraszać i zniechęcając owieczki, niejedna już trzoda szukała obcego pasterza, lecz jój go przyjąć nie dozwolono. Może nadejść chwila, że będą pasterze bez owieczek.

Powtarza się w naszych oczach bajka o kawce ustrojonej obcym pierzem i żaby nadymającej się do wielkości wołu, wszakże już nie wzbudza śmiechu, lecz przepełnia zalem i tęsknotą za utraconymi zasadami, łączącymi ludzi węzłem miłości chrześcijańskiej i wzbudzającymi wzajemne zaufanie do wspólnej pracy. Kształci

się wielu na gołębiarzy, ostrzą wytrwale szpony, a władze i społeczeństwo niebezpieczeństwa spostrzedz nie chcą.

Nikt nie zaprzeczy, że pożytek spoczywa na oświacie. Podatek ocenia w części zdolności w gospodarstwie i handlu, ocenia pracowitość i dorobek, census usunąłby ze sojmu gniotące gdyby mara elementa. Prawa przecie dla wieków nie pisane, więc gdy oświata się rozpromieni i ogrzeje ludność, wtedy przystęp do ciał prawodawczych może być rozszerzonym; dzisiaj zaś prawodawca nie umiejący pisać i czytać, jest potwornym wymysłem, który rzuci cień na kierującą sprawami w Austrii władzę na kartach historii i przedstawi się pierwsza odegrana komedia prawodawstwa austriackiego!

W Anglii, Francji, Belgii i w Niemczech ludność ma wykształcenie, przytém i to poczucie, że jest przeznaczona do pracy, a nie do rady, a mimo że wrota do prawodawczych sal stoją otwarte, ona swoich nie wysyła, lecz szuka ludzi światłych, wykształconych, niepodległych, z odwagą cywilną i ich obdarza swém zaufaniem. U nas jak gdyby na teatrze umyślnie lampy gasiła władza, by żadne przedstawienie nie przyszło do skutku! — Z jednej strony sztucznie nienawistny, mściwy i interesowany hamulec, z drugiej strony ciemnica, nie przyjmująca światła.

Zaiste strach ma wielkie oczy, prawda tego przysłowia niemal z każdym rokiem potwierdzona. Postawiono na nas samopał, zadający nam dotkliwie rany, rozstrzeliwujący nas i hamujący wszelkie prace, lecz

broń mordercza wymyślona w roku 1849, znakomicie wydoskonalona w czasach konstytucyjnych, dziś wolno, lecz nieprzerwanie kieruje się ku majstrom i niebawem zada cios niepowetowany. Śledząc agitacye we wschodniej Galicyi, w części przez duchowieństwo, w części przez agentów, agitacye przez władze wcale niehamowane, patrząc na migracye księży w Chełmskie i Lubelskie i nazad do Galicyi, śledząc procesy odbywane bez przeszkody do Poczajowa, gdzie polityczno-socyalni pielgrzymi instrukcyje i nauki otrzymują i publicznie je głoszą za powrotem; a nareszcie, badając uważnie apostołstwo teorii wręcz przeciwniej monarchii, a nawet i dostojnej dynastyi, niekryjące się bynajmniej, oczywiście myśl każdemu się nasuwa, że w porozumieniu z potężnym sąsiadem przygotowania się odbywają, aby sztucznie kreowany naród zlał się z sąsiednim, a przewodnicy zasłużoną otrzymali nagrodę za poświęcenie się dla Rosyi i prawosławia.

Dla ludzi walczących często z potrzebami i niedostatkiem, przy kosztowném wychowaniu dzieci w naszych czasach, obietnice dostojności i zabezpieczonej przyszłości, są pokusą nie łatwą do zwalczenia, a podanie się im tém więcej ułatwione, że władza biernie się zachowuje, oczy przymruża na działalność, ułatwia prawie murowanie drogi dla sąsiada. Inaczej nie można sobie tłumaczyć zachowania się rządu wobec tego ruchu; przecie liczymy, co prowincya daje pieniędzy w podatkach i ile daje bitnego i posłusznego żołnierza, nie wymagającego jeszcze do téj chwili, ani kawy ani piwa.



Tak w małych jak i w wielkich rewirach nastawiają samopały. Podziwiamy w Rosyi samopał nastawiony na wiarę katolicką przez władzę, której zawsze cechą była zdolność, przebiegłość i wytrwałość. Widząc w katolicyzmie część polskość skazanej na zagładę, uchwalono znieść kościół i od czasów Siemiaszki do dnia dzisiejszego z wytrwałością niezwykłą, wojna prowadzona z wiarą katolicką. Nic nie powstrzymuje rządu, ani prawosławie bez wiary, służalcze i częstokroć poniewierane, ani indyferentyzm rozszerzający się po przestrzeni bez granic Wszech Rosyi, ni mnożenie się najdziwniejszych sekt niemal bałwochwalczych, ni wzrastająca niemoralność i indyferentyzm religijny, nie ma tu przeszkód, można znieść Boga, byle car został, a polskość zatraconą została!

Organa rządowe z tryumfem i radością głoszą, że Litwini z wdzięcznością nieokreśloną, dostali się nareszcie na łono tak długo oczekiwanego prawosławia. Dobroczynny liberalny rząd postępując konsekwentnie, wyteża swe siły, aby teraz chełmskich i lubelskich mieszkańców wyswobodzić z ciężkich kajdan nałożonych przez rzymską stolicę. I wybranych swoich morzy głodem, niszczy ich mienie, bezczęści białogłowy, zabija dzieci i niemowlęta, pędzi swych ukochanych w śniegi i na mroźne wiatry, kąpie w ściętej wodzie, dziesiątkuje Unitów i knutem do cerkwi pędzi, wskazując tam jedyne światło. Przed naszymi oczami powtarzają się sądy św. Fehmy, męczarnie w cyrkach rzymskich, co tylko okrucieństwo wymyśleć mogło, użyto, aby ludność uszczęśliwić prawosławiem! Nareszcie zabłysła tęcza na

horyzoncie Wszech Rosyi i pisma urzędowe głoszą, że uszczęśliwionych jest 30,000 Unitów znajdujących się już na łonie prawosławia. Do tego rajy zapędzeni zostali katuszami, którychby oprawca z rewolucyi francuskiej pozazdrościł! Musiało tak być: kto nie prawosławny, ten nie może być wiernym poddanym, gdyż podstawa tego gmachu: Biały Car i prawosławie. I Cezarowie rzymscy mniemali, że krwią przygaszą boską iskrę, że zniszczą chrześcianizm stosami męczenników, że walecznością rozniosą skałę św. Piotra i spokojnie oczekiwali skutków swych usiłowań. Runęło cesarstwo, zginęli Cezarowie, a ciepłik iskry Bożej grzeje ludzkość, przygotowuje do świata pokoju wiecznego. Złe ziarno gorszy plon wydaje i wyższa sprawiedliwość skieruje tę samą broń przeciw prześladowcom — i niebawem zobaczymy sekciarstwo i nihilizm bez uzdy w walce z rządem.

Prusy zapisały na swęj chorągwi godło *Bóg Hegla i wszechwładne państwo* i niosą ją zwycięsko po części kontynentu, głosząc, że one wytworzyły potęgę dla rządu, a dla narodów szczęście. Sztuczny zlepek państw, utworzony zręcznością, narody odurzone świetnem zwycięstwem: zlepek stoi trzymany żelazną ręką, a część narodów wierzy, że Bóg Hegla im wystarczy. Kościół prześladowany, instytucje katolickie usunięte, dostojnicy kościoła uwięzieni, księża gdyby śludzy państwa na zasługi skazani, majątki duchowne skonfiskowane, parafie i dyecezye cywilnymi urzędnikami administrowane, dwadzieścia milionów katolików zapisanych jako podejrzanym, chrzty i śluby usunięte, rząd zastępuje kościół. I tak być musi chwilowo, bo tego wymaga Bóg

Hegla i wszechwładne państwo. Wolność w złotych kajdanach jeszcze uwodzi, a zdobycz na jakimś polu stanowiła zawsze godła niemieckich rycerzy: więc się uśmiecha zwycięstwo nad kościołem, złamanie rzymskiego wpływu, zniszczenie potęgi katolickiej wiary. Nic nie wstrzymuje w walce tych nowoczesnych, zaślepionych Rzymian. Wolność, postęp, oświata i prawa, to wszystko daje się ukuć w odlewni żelaznego męża, który przysiągł, że skałę św. Piotra rozwali i kamienia na kamieniu nie zostawi, a kościół będzie mu służyć za giętkie narzędzie, gdyż obok siebie żadnej siły znieść nie może, którą widzi w zjednoczeniu. Podobny samopał, niejednego śmiertelnie ranił, który go nastawił — i gdy uderzy w zlepek państw z pamięcią przeszłości niepodległej, gdy katolicy uczują ogrom poniesionej straty, wtedy bóg Hegla wystarczyć nie powinien. I tak wszędzie widzimy gołębiarzy, odważnych, wytrwałych, niszczących z podniesioną przyłbicą, również skrytych, rabujących po złodziejsku, żyjących gdyby krety pod ziemią. Obydwa gatunki niebezpieczne: pierwsze z impetycznością uderzając, zwracają naszą uwagę i czynią nas ostrożnymi; drugie odwagę zastępują zręcznością, przebiegłością i chytrością swą nieporównaną, łowią bezbronne ofiary. Całe zadanie ludzkości mieści się więc w nauce ornitologii, którą apostołuję, aby się rozpowszechniła i my uczyli rozpoznawać gatunki ludzkich gołębiarzy, uczyli się je tępić i nieszkodliwymi czynić, siebie i swoich ratować, bliższym swoim wrogów wskazywać, silniejszych unikać, chronić się od zbyt drapieżnych, a w łonie społeczeństwa prześladować szkodli-

wych i niszczących. Pierzaste jastrzębie rabują dla własnej potrzeby do utrzymania życia i nigdy się na współbraci nie rzucają w największym głodzie, rabując we własnym rewirze, a dziećmi kolonizując odludne okolicę. Inaczej postępuje gołębiarz ludzki, drapieżny jak tamten, lecz nienasycony, rewiru nie ma, więc rabuje wszędzie, rozmiary i ubarwienie różne, trudno zatem poznać go, prześladować i unikać. W swém zaślepieniu częstokroć zapomina o własnych potrzebach i o zabezpieczeniu przyszłości, niszczy swe bogactwa, wysusza źródła, w zawziętości swęj krwawi złupionych, prześladowuje i gnębi, *nie ma bliźniego, zna tylko ofiary*. Inni bez wyższego stanowiska i odwagi, zdradą, podstępem i przebiegłością szerzą zniszczenie. W gronostajach i w łachmanach, w zamkach i chatkach, na najwyższym stanowisku w hierarchii społecznej, w finansowym świecie, w przemyśle, w rękodzielnictwie i w kryminale, na wsi i w mieście, w kraju i zagranicą, wszędzie licznie zamieszkują obydwie gatunki gołębiarzy, mnożą się one i wzrastają w siły i grożą zagładą społeczeństwu. Najniebezpieczniejsi w złoconém pierzu, napadają oni, wydzierają, wyzyskują, broją bezkarnie, gdyż posiadają przebiegłość wyższego rzędu, a potęgą pieniądza zabezpiecza im bezkarność.

III.

Wszystko się zmienia w naszym wieku, burzą dawny gmach, a budują nowy bez planu i obrachowania. Zasady odwieczne chrześcijaństwa przemieniono na mniej gniotące wyswobodzonego człowieka, żarliwą wiarę na obojętność religijną, na bezwyznaniowość. Wiara rozstrzelona na krocie odcieni, nie możemy już widzieć kolorów, ani poznać stopnia jęj ciepła. Religia użyta jako narzędzie, lub jako broń, a nareszcie na demonstracye polityczne. Despotyzm autokratyczny, zdmuchnięty powiewem wieku, a konstytucye kują najrozmaitsze łańcuszki, wolność wyciska coraz to nowsze teorye i nakazuje w praktykę wprowadzać, władca podzielił się władzą z podwładnymi i w niemocy trzymany. Powtarzamy słowa znakomitego męża stanu Wielkiej Brytanii: »Społeczeństwu zabezpiecza siłę i trwałość majestat tronu, majestat prawa i osobista każdego obywatela opieka«, tymczasem widzimy majestaty działające przeciw swym przekonaniom, prawa podminowane i zręcznie obchodzone, a opieki współobywateli

ku ustaleniu społeczeństwa na trwałych podstawach spostrzedz nie możemy. Rycerskie hufce zastąpione milionowymi armiami. Waleczność osobistą zastąpiła donosna broń; indywidualność żołnierza, zwarte szeregi; podwaliny i filary rządów podminowane i nastąpił wiek prób. Najdziwniejsze teorye próbujemy wprowadzić w praktykę — i nareszcie społeczeństwo nakształt tęg panienki w sklepie konfekcyj, coraz inne stroje przy mierza, przymila się, zwierciadli w lustrach, mizdrzy się i uśmiecha do nowości, pyta czy jęj do twarzy, czy na jęj pożytek, czy strój trwały? Niejedna szata modna gniecie, kłuje i ciśnie, kosztowna i niewygodna, lecz zrzucić jęj nie wolno, bo to próba mająca się odbyć do końca, zresztą moda najnowsza, kto w opozycyi, to wstecznik, nienależący do mężów postępu naszego wieku. Nieraz w niecierpliwości i w rozpaczcy potarga duszące szaty, lecz duch czasu nakazuje nowe przywdziewać, pomimo że ciało nosi sine ślady, prób nie wolno wstrzymywać, stroić się więc musi, lecz zawsze w nowe, z dawnych nawet najwygodniejszych używać nie może.

W wieku miernoty umysłowej, przy wzrastającęj niemoralności, gaśnięciu miłości chrześcijańskięj, dobrej wiary, wzajemnego zaufania, społeczeństwo gdyby lalka bez czucia pozwala się przebierać w najrozmaitsze stroje, najczęściej z zagranicy sprowadzone. Pracę mrówczą zastępuje spekulacya, wytrwałość — przebiegłość, sumienie — zręczność, rolnictwo — przemysł lub finansowanie, siłę rodziny — stowarzyszenia; dyskusya — czynność, narady — pożytek, wir nieprzerwany — pochód

systematyczny, eksploatacja — uczciwość, narzędzia — pracę ręczną, zimna wiedza, nieukontentowanie — swobodę, a nareszcie próby lepszego — ustalone dobro. Prąd elektryczny wysadza niemal każdego ze swego stanowiska, pędzi naprzód do niewidzialnego celu, otrzásając po drodze z pętów zasad. Błądzi, wątpi, waha się, traci zaufanie we własne siły, nie widząc wytkniętego kierunku, z trwogą rzuca myśl ku przyszłości, styka się z drugim, zraniony odskakuje, łączy się, a pozostaje osamotnionym, czuje się porwanym wirem nad jego siły, wstrzymać się nie może, przecucie każe stać, a siła nieodgadnięta pędzi naprzód, zasady zaszczerpione w jego sercu przez ziemską opatrność ryją po sumieniu, lecz szal tegowieczny głuszy je. Niepokój, niecierpliwość, gorączkowość, rozdrażnienie, niepojęta ruchliwość ogarnęła społeczeństwo, niema czasu wy-czekać, wszystko za pomału postępuje — i wyczarowany w naszym wieku postęp ślimaczym krokiem pędzi naprzód. Jeszcze zanadto pozostało z dawnych czasów niezburzonego materiału, starszyzna nam bruździ, nowości zamało, i jakby na rozhukaném morzu, pędzeni żaglami, wołamy: brak ruchu!

Wszystko się zmieniło, gospodarować już nie chcemy, uprawę roli powierzamy obcym, bo matka ziemia, ta część ojczyzny, spuścizna ojców, niewdzięczna, nie płaci naszej pracy; lud wiejski, ten rdzeń narodu, oddajemy żydom na wychowanie. Twierdzimy, że ten lud przygotowujemy do ogólnego ruchu narodowego, że szerzymy oświatę, że zakorzeniamy w nim cnotę. Łu-

dzimy się, że lud do nas się zbliża, lud przez nas zaprzędany.

Jarzma nie nosić, oto godło naszego wieku; praca, znoje, niewygody, cnota, ofiary i poświęcenie, wiara i uczucie, to jarzma gniotące. Niech więc niszczący dzierzawca, zastąpi właściciela, pożytejskie — brukowe życie, stowarzyszenia — obywatelstwo, wierzchowca — wygodne krzesło, łowy — niemieckie polowanie, przedwczesna starość — czerstwą młodość, zdrojowiska i leki — utracone zdrowie. I niebawem komplikowany warsztat postępowy wydawać będzie na świat produkta, zaiste nie odzwierciedlające naszych.

Cóż dziwnego, że wierzchowiec, łowczy, dojeżdżacz i psiarnie ustąpiły z widowni, sieć pogniły, za niemi podążył szlachetny sokół z uroczém swém otoczeniem, że znikła rycerskość i ustąpiła zahartowana młodzież, w zamian zakorzeniło się zamięłowanie komfortu. Niechże ja, nad tym grobem zwyczajów polskich, mieszczącym we wnętrzach swych słynną rycerskość naszą, kilku choć rysami skreślę na pamiątkę obraz łowów sokolich, u nas więcej rozpowszechnionych, jak w innych krajach; niech te zapiski obudzą naszą młodzież drzemiącą, powołają do rozkosznych i pożytecznych rozrywek na wieś barwistą, osieroconą przez nas, opuszczoną i zaniedbaną, może powstanie jeszcze sokolnik z rękawicą na rumaku, trzymający na berle szlachetnego, walecznego i rozumnego ptaka, stojącego się powolnóm i pożytecznóm w jego ręku narzędziem.

Jako ptak łowczy ma wyższość nad Białozorami, Rarogami i innemi gatunkami Sokółów; gdy tamte ło-

wią swe ofiary wyłącznie w powietrzu, nasz rabuś łapie je wszędzie: w górze i na dole, pod obłokami i na ziemi, na drzewach i na krzakach; odwagą i podstępem, impetycznością i podkradaniem się, żyje rok cały jako rabunkowy rycerz w zbroi i z podniesioną przyłbicą, żyje również jako podły złodziej, podstępny zdrajca i ukryty zbrodniarz, tajemniczy oprawca. Czapie, dropie, gęsi i kaczki, kulony i kuliki, kuropatwy i bazanty, przepiórki i chróściele, cietrzewie i jarząbki, nawet i zające zabija i sokolnikowi dostarcza. Niejeden z myśliwców zesiadał z rumaka zbyt objuczonego zwierzyną, aby mu ulżyć, tyle sztuk ubił niezmordowany zbójca. Dobrze unoszony jastrząb, Rabiec (a nie Gniazdowiec) przy dokładnie wyćwiczonym wyźle z ostrym wiatrem, te dwa instynkta złane w jedną broń na pożytek myśliwego, przewyższały pod względem łupów wszystko, co rozum ludzki do dziś dnia wynalazł w systematach odtylcówek. Bystrość wzroku, zręczność i impetyczność jastrzębia, jego niezmordowana wytrwałość, a nienasycona żarłoczność; doświadczenie wyźla, znakomitość jego wiatru, przy dobrym kierunku myśliwca; koń ze stalowymi nogami, giętki, lekki i posuwisty z aksomitnymi ruchami: oto rajska rozkosz dla polskiego młodziana z dawnych czasów. Nie potrzebował on *Büchsenzpanerów* i *gelehrte Jäger*, brzydził się niewolniczymi naganiaczami, nie znał otaczającego dziś orszaku z wygodkami i krzesłami, z towarzystwem mającém ubarwiać polowanie, jak trufla potrawkę; on był myśliwym i pragnął na polowaniu wyłącznie tylko łowów bez kart, win i komfortu.

Gdy zorza spóźniona w jesienną porę wychylała się z za pagórka, świeża i różowa, gdyby Najada zwiłgocona rosą, przyroda cała witała ją balsamiczną wonią, w ciszy poważnej oczekując słońca, mającego swych mieszkańców ze snu obudzić i powołać do chwalenia Stwórcy: wtedy młodzian świsnął, jastrząb zakwilił, wyżeł radośnie skowyczeć począł, a dżanet niecierpliwie przed domkiem kopytem darł ziemię, drugi dla pachółka pienieł z pyska, miętosząc wędzidło. Myśliwy pasem ścisnął ciało nad biodrami, zarzucił torebkę na ramię, skarbiec to dla niego na cały dzień. Kawałki mięsa dla jastrzębia kubusia, placek dla wyźla bekasa, dla siebie wódka, wędlina i chleb, na drugie ramię harapnik, na prawą rękę włożył z grubiej skóry rękawicę, w dłoń wziął berło, w lewą troki i przystąpił do ręcznego ulubionego wierzchowca, troki z kółkami mosiężnymi na ptaki przypiął do siodła z przodu, z tyłu cienkie wiązujące rzemienie, odwrócił się, postąpił ku drzwiom i zawołał: »Chodź mój sokole, na łowy«. Ptak łowczy żałośnie zakwilił, gdyż kaptur na głowie nie dozwalał mu pospieszyć do swego pana; wyniesiony ptak usadowił się na berle, potrzepotał z radości skrzydłami, główkę ku panu nachylił i ziewnął kilka razy, gdyż straszliwie był głodny. Młodzian wsiadłszy na konia, z torebki dobył bryłkę mięsa i dodawszy napomnienie, obdarzył ptaka pokarmem dla wzmocnienia sił i przywiązania do siebie. Nareszcie ruszył myśliwy, pacholę opodał kroczyło, Bekas kudłaty ze spuszczonego ogonem, minął niezbyt wesołą drepca, bo to daleka przestrzeń, zanim polowanie się rozpocznie, a słońce przy jego futerku

doskwiera potężnie i zmusza język z pyszczka wypuszczać, wieszać na boku, aby ziejąc co może nieco wilgotnego powietrza do gardzieli naciągnąć. Jadą bitym szlakiem, kurz się poddał rosie, więc przed końmi jasno i wyżeł woni nie traci, jadą dalej zwolna posuwając się ku olchowym krzakom ze smutną postacią; — już zielony kolor swoją świeżość stracił, plamki brunatne obsiadły, żuki podziurawiły liście, tu zeżółkły trawy, tam sitowie ku ziemi się pochyliło, kępiny z trawy obnażone sterczą, gdyby brunetów ogolone głowy, krzaki się zbliżają do siebie, tworzą kępy, łożyny, stronią od olszyn pomatwane warkoczami chmielu, tu osty gdyby szkielety sterczą, a tam natrętna pokrzywa wstępu broni. Wąską wstażką woda sączy się leniwo, posuwając się z brakiem spadku, w nizinkach stoją kałuże z cieniami zielono-żółtawymi i brunatnymi, ubrane w mokre kozuchy, na nich gdyby na pierzynie rozwalone żaby, z wyciągniętymi nogami, wlepiają zdziwiony wzrok w oblicza najeźdźników. Dalej rdzawe moczarki ze sosienką trawną, po nich uganiające pająki czarne, muszki i komary, niekiedy mysz pobiegnie, kurka wodna się przesunie, lub zaalarmowany chróściel niezgrabnie przez wodę przekroczy. Gąszcz się zwiększa, już pomknął niejeden zając, sarneczka, ta nasza antylopa i gazela, w susach ku borom podążyła, konie grzęznąć poczęły, krzaki odzież zrywać usiłowały, a nasz młodzieniec, obznajomiony z miejscowością dąży dalej, widocznie nie chce tu polować. Zachlapany Bekas już skomleć zaczął, konie spienione sapały i pacholę już zniecierpliwione zpod oka na pana swego spoglądało,

mrucząc pod nosem. Nareszcie przedstawia się obrazek inny: krzaki ustąpiły, woda zebrała się w małe jezioro najeżone kępami, ozdobione kitkami trzciny i buketami szuwaru, poza tém kępiasta łąka, dalej podniosłe krzaki.

Nasz myśliwy stanął, ręką nakrył oczy, aby słońce bystrego wzroku nie przyćmiewało i długo w jedną stronę spoglądał. Pacholek oczami posunął w kierunku swego pana, przybliżył konia i półgłosem szepnął: »to one, 10 do 12 sztuk«. Młodzian kiwnął głową potakując, świsnął na Bekasa, wskazał ręką i zawołał: »tam szukaj«. Mądre psisko popatrzało w oczy panu swemu, potem na wyprostowaną rękę i chlapiąc po wodzie i błocie truchcikiem podążyło poza jezioro. Co oni widzieli, oba myśliwi? Oto cała z krzaków оголоcona przestrzeń była okryta srebrnym dywanem rosy, a na dywanie 8 do 10 białych ścieżek z otrząśnionymi kroplami wody. Te linie, to były ślady cietrzewi przybyłych do jeziora po świeży napój i wskazówki ich powrotu na dniówkę w wyższe krzaki. Młodzieniec podjechał pod gąszcz i stanął, pacholę zaś pojechało daleko i zatrzymało się na wzgórk. Bekas świstaniem kierowany, szukał, powracał i znowu uganiał; nareszcie stanął twardo, a gdy usłyszał »dalej«, skoczył i wypłoszył chróściela podrywającego się z wiszącymi nogami, obraz nędzy i nieszczęścia. Wyżeł spojrzał na swego pana, ten zmarzczył brwi i groźnym tonem zawołał: »dalej, to mały ptak«. Bekas pokiwał ogonem na znak, że dopiero teraz wie, o co chodzi, powrócił na szlaki cietrzewi i niebawem musiał stanąć, bo cicho wszędzie, nic się nie

rusza, a pomimo świstania wyżeł nie wraca. Posunął się na koniu młodzieniec, wił się dalej po krzakach, lecz nareszcie gąszcz ścianę postawił nieprzystępną, dalej wcisnąć się już nie mógł! Woła: »dalej Bekas, dalej go«. Cicho, widać cietrzew cieknie, a wyżeł za nim się podkłada. Nareszcie opodał, krzak się zatrzęsł, gdyż Bekas tam wskoczył, a ze spruchniałego pnia, z wielkim łomotem zerwał się czarny, jeszcze niezupełnie wypierzony stary kogut, z podziurawionemi skrzydłami z braku wyrośniętych lotek i z wytężeniem szybował w przeciwną stronę. Doświadczony młodzieniec zdjął kubusiowi kaptur, lecz go głaskaniem przytrzymał, aby cietrzewiowi dozwolić odlecieć, a temsamém dostarczyć jastrzębiowi przestrzeń potrzebną do impetycznego lotu. Zawołał nareszcie »bij, bij kubuś«, ruszył berłem, a jastrząb szybkością błyskawicy dopędził koguta, wbił szpony w krzyże, dzióbem po głowie uderzył i wysilenie czynił, aby na berło ofiarę przynieść, pasował się chwilę, zbliżył kilka kroków, lecz ciężar był nad siły i ptak ze swym łupem zniżał się ku ziemi. Wtedy myśliwy zawołał: »Ciśnij, ciśnij, wracaj kubuś«, kubuś chciał powrócić, — to pewnie, — lecz wbiwszy głębokoszpony, nie mógł ich wydobyć ani podlecieć, siadł więc na kępnie i patrzył na swego ptaka, pomimo, że bekas już przed nim stał oblizując się na widok pięknego cietrzewia, którego pragnął przynieść swemu panu. Młodzieniec zsiadł z konia, cugle na krzak rzucił, przystąpił do jastrzębia, pogłaskał, wyjął z ciała szpony, nadstawił berło, a gdy łowczy ptak swe miejsce zajął, urwał głowę cietrzewia i dał ją jako nagrodę. Usiedli

do tej uczty oba: jastrząb mózg wydobył, a myśliwy kawałek chleba z wędliną pokropił orzeźwiającą wódeczką i niebawem byli znowu wszyscy w pogotowiu. Szczęście wielkie tego dnia, stado nieruszone, a zatem niespłoszone, wielka więc nadzieja powodzenia. I rzeczywiście stadko opodał od ojca spoczywało drżąc pod promieniami słońca w wygniecionych w trawie miejscach; Bekas zrozumiawszy, o co już chodzi, za skinięciem ręki powrócił na krawędź lasu i niebawem zerwało się dwoje dużych młodych cietrzewiów. Kubuś szybował, jedno porwał i przyniósł na berło; ten moment powtórzył się jeszcze cztery razy, lecz jakoś dalej nie chcą się porywać; słońce przypieka; wyżeł wprawdzie strychuje, krzak po krzaku rewiduje, ugania, powraca i znowu szuka, lecz jak nie było, tak niema cietrzewi. Koń muchami cięty, stać już nie chce, obciera się o krzaki, bekas zniechęcony rzuca się w rozpacz na trawę, nogi wyciąga, tarza się, brzuch o trawę wyciera, a wzrokiem do pana swego mówi: »już nie mogę, praca na nic się nie przyda, gdzieś pod ziemię się schowały«. Młodzieniec ruszył ku swemu pacholęciu i zapytał: »czy zapadły?« — pacholę odrzekło: »dwoje w tym gąszczu«. Jastrząb drzemał zmęczony na berle, myśliwemu perlił pot na czole, a Bekas w dyszeniu swoim różne tony wydawał, gdyby z miecha szatańskiego. Zdawało się, że łowy skończone i że do domu jechać wypadnie, wszakże gdy Bekas wypoczął, a usłyszał znane wyrazy: »no poszukaj psisko!« wstał, otrząsł się, począł znowu szukać i ruszył cieciorkę zupełnie wypierzoną, — wzniosła się hałaśliwie, a zobaczywszy

niebezpiecznych gości, szybkim lotem umykała pod i nad krzaki. Kubuś w pogoń, cieciorka stara usłyszawszy straszny, a znany świst lotu wroga, nurka daje w gąszcze, popod wierzchołki wylatuje, znowu się chowa, dąży ku wysokim drzewom, tam pomiędzy gałęzie wpada, sznuruje popod konary, a słysząc za sobą nieprzyjaciela, spuszcza się ku ziemi i szybuje dalej wśród pni i pniaków. Nic fortele nie pomogły, za nią większa siła, większa zręczność, a zawzięta, śmiertelna. Zmęczona cieciorka pada pod omszonym pniakiem, chowa główkę w rozpadlinę i czeka swego losu. Jastrząb stanął w powietrzu jak wryty, zatrzepotał skrzydłami, zniżył się, zatrzymał znowu chwilę, i nareszcie uderzył na omdlałego ze strachu ptaka, porwał i przyniósł na berło!

Bekas jeszcze jednego cietrzewia wypłoszył, kubusiowi zdjęto kaptur, wołano, bij — bij, lecz ptak znużony ostatnią pogonią i nieco najedzony, głową pokręcił, jedno skrzydło wyciągnął, szponami pogłaskał, złożył skrzydła i z berła się nie ruszył. Był to znak do odwrotu: z sześcioma cietrzewiami.

Ruszyli kłusem, jastrząb prądem wiatru podwiewany, co chwilę podnosił i spuszczał skrzydła, wyżeł był najprzykrzejszą ofiarą téj wycieczki, gdyż opodal za końmi galopkiem nieco boczkciem dążył ku domowi zmęczony i głodny nad miarę. Ku wieczorowi ukazało się zacisze z ciężką strzechą i olbrzymim gniotącym białym kominem, dwie lipy liściaste stały opodal, połączone dwoma drążkami do wieszania zwierzyny, przed drzwiami siedziała stara wyżlica, weteranka zasłużona,

zaskomlała z radości na widok wracającego orszaku. Wstała, ogonkiem witała, badawczém okiem śledziła troki, obchodząc do koła obydwu konie, z podniesioną mordą, a gdy odtroczone cietrzewie, każde ptaszę obwąchała, pierze nosem poruszała, nareszcie jedno mniejsze wzięta i pod lipę na miejsce przeznaczenia poniosła. Konie same podążyły do stajni, pacholę z bekasem pospieszyli do kuchni, młodzian z jastrzębiem poszedł do sieni i posadził go na poprzeczce drzewa dla niego ustawionego, zdjął kaptur, ptaka pogłaskał, przyniósł misę pełną wody na kąpiel i poszedł do komnaty.

Tu stół dębowy obszerny, nakryty damaszkowanym obrusem szarym, dwa nakrycia, jedno dla gospodarza, drugie dla gościa mogącego przybyć, dzbanek z miodem na środku, koło niego niebieska faszka z wódką, na półmiskach rozsiadały się marynowane ryby, szynka i kiełbasy.

Wniesiono misę z rosółem, w której się kąpał kawał wołowiny ubarwiony jarzynkami i zielenizną, wniesiono dalej comber sarni, pływający w kąpieli sosu, a na końcu dwie kaczki pieczone. Spożył młodzian, a mógł dużo po tym dniu, przeżegnał się, wyszedł na podwórze, dalej do stajni, później na gumno, obszedł obory, wypytał co zrobiono, naznaczył roboty na jutro, a gdy słońce podążyło ku spoczynkowi, powrócił do domu, stanął przed łóżem łożami skórąmi nakrytym, zgiął kolana, ukląkł i dziękował Bogu za dzień spędzony bez grzechu i wyrzutu sumienia. Nad łóżkiem przybita była kotara turecka, na niej wizerunek Najświętszj Panny Ostrobramskiej i Chrystus Pan na krzy-

zu, krzywa szabla w pochwie srebrnej, oręż prosty i ciężki z rzemieniami, trąbki dwie, smycze, obróże, dzida, pręty żelazne, noże i kordelasy w pochwach, a w końcu kotary na sznurku kalendarz z wiszącym ołówkiem.

Kilka dni później wchodzi pacholę przy wschodzie słońca, uchyla głowę pod drzwiami, kroczy ku panu, ręką chwyta za kolano i mówi: Panie, tam sześć pozostało cietrzewi, a znalazłem drugie stado w tychsamych krzakach, w kupce jak rój pszczół koło swiej matki. Młodzieniec na tę wiadomość drgnął, krew mu do głowy uderzyła i lice zarumieniła, powstał i jak gdyby nie był w zgodzie ze sobą samym, chodząc po izbie półgłosem mówił: »Szkoda, bo niebawem koguty opuszczą cieciorke, rozdzieli się stado i zmieniają pole. Szkoda, a ja polować nie mogę, jutro św. Justyny, a pojutrze święto«. Pacholę zrozumiało, że uczucie dla Boga i jeszcze dla kogoś więcej wzięło górę nad zamiłowaniem polowania i że nie warto dalej kusić swego pana. Ten epizod nam dowodzi, że serce biło szybko, że bywało równie czułe pod misiurką i skórzanym kaftanem, jakto bywa pod frakiem i paletotem; lecz miało wyższość nad naszymi, wyższość czystości i bezinteresowności. Kochano w pełni, bez interesu i rachuby; miłość bez namiętności ogarniała jestestwo, jak wonne powietrze bez namułu i miazmów. Lecz dajmy pokój gruchającej parce i wyrażmy nadzieję, że czarnobrewa Justynka niebawem zawita pod strzechę i weźmie pod swą opiekę kubusia i Bekasa, — tak mi każe doświadczenie wróżyć.

Gdy ręka ludzka zmiotła złote kłosie z pola i zostawiła wycieńczoną po połogu ziemi sterczącą cierną na pożywienie, gdy słońce spaliło roślinki wychowywane pod opieką cieniującą zboża, gdy babki w kitkach chyły się ku ziemi, a osierocony bławatek strój swój błękitny zamienił na szary zaszargany, gdy stada bydła i owiec profanują deptaniem to, co było niedawno strzeżonem i nietkniętem, wtedy to dla myśliwego otwiera się pole wzruszeń i rozkoszy. Wśród sterczącej ścierni biegają przepióreczki, spoglądają bez ustanku w górę, lękając się tak często powtarzanych napadów lotnych swych wrogów; chróściel nieszczęśliwy, przepłoszony jasnym otoczeniem, on który wyrósł w wilgotnym cieńniu, biega i szuka nadaremnie bezpiecznego schronienia. Kuropatwy skrzętnie zbierają wytrzęsione ziarenka pszenicy, soczystymi owadami przeplatając pożywienie, jedzą pszeniczkę gdyby ze sosem, a nadśłuchują czy doświadczony kogut i ojciec nie zakwoka: o bo wtedy, gdzie która jest, musi się schować pod bryłkę, pod miedzę, do bruzdy, w wypłuczyska i udawać nieżywą; lub też według hasła, co nogi wytrzymają i mogą, gonić do łanu kartofli, spóźnionego bobu, prosa lub owsa, a gdy miejscowość po temu do krzaków i tam w trawie przywarować! Jeden skowronek swobodny, bo od śniegu marcowego na roli wychowany, on musi mieć słoneczne sklepienie niebios nad sobą w każdej chwili, aby się wznosić i nucić swój harmonijny hymn Stwórcy.

W téj-to porze siadają na konie młodzieniec i pacholę, każdy bierze berło i jadą na ogołocone ze zboża

łany. Bekas świadomy poleconych obowiązków, strychuje pod wiatr, to na lewo, to na prawo, oglądając się czy konie niedaleko, nareszcie stanął, wyprężył się, ogon podniósł do góry, oczy wytrzeszczył. Młodzieniec przytrzymał konia, pacholę galopem ruszyło i o sto kroków stanęło naprzeciwko swego pana. Jastrzębiowi zdjęto kaptur, a gdy pacholę w oddaleniu podniosło berło, jastrząb pływając nad samą ziemią przeleciał i usiadł na przeciwnym berle, otrzymał kęs mięsa i znowu powrócił na rękę swego pana. Zeskoczyli obydwaj z koni, zostawili je w miejscu, rozłożyli sieć, pociągali i nakryli warującego wyżła. Kilkanaście kuropatw z hałasem trzepotało się pod siecią, ani jedna nie uszła, Bekas zgrzytał zębami wobec takiej pokusy, a łowczy ptak trzepotał z radości, widząc ile to móżgownic dla niego przygotowanych.

Gdy jesień ku zimie się posuwa, wiatr liściem nosi, przyroda cała łzami zalana, a mgła gęsta kłębuje po widnokręgu, gdyby z komina szatanów pędzona, osiada, moczy i mrozi, słońce za zasłoną nieśmiałe, cieplika przyrodzie udzielić już nie ma odwagi. Smutno wszystkim żyjątkom, tęskno ludziom; ptastwo się gromadzi i szykuje do wędrówki w oddalone kraje, świergotaniem, na odjeźdnym pozdrawia pozostających; tu i owdzie dywany zielone ozimin urągają zimnu i słońcu, cudownym miłosierdziem Bożym utrzymywane na pożytek ludzi. Młodzieniec w kozuszek odziany, bierze ze ściany pręt żelazny, wsadza za cholewę i przywołuje pacholę; Janko rozpromieniony, oczy wytrzeszcza i słucha z wytężeniem rozkazów: »Ja wezmę Kubusia, ty weź Ćwika

i pręt żelazny, mgła gęsta, łatwo podjechać gęsi i drobie, ostatnia chwila do łowów, ptaki są już na odlocie«.

Ćwik był-to jastrząb, samica niepospolitej siły i wielkości, używany wyłącznie na grubszą ptasią zwierzynę; zuchwały, czasem niesforny, lecz natarczywej odwagi, nie cofający się przed żadnym nieprzyjacielem. Jadą, obydwaj gdyby cienie z za Styksu osłonięci grozą mgły, konie parskają, jastrzębie się z kropli osiadłych na pierzu otrzepują, widnokrąg zamknięty, gdyby gmach sceniczny ze spuszczoną zasłoną w dzień przedstawienia. Jadą po ścierniach, brną po rolach, dobijają się na łączyta; pacholę z rysim wzrokiem nachyliło głowę, patrzy z wytężeniem i niebawem ręką wskazuje przedmiot w oddaleniu na ziemi. — Młodzieniec się przybliżył, spojrzał we wskazanym kierunku i szepnął: »To gęsi«. — »Gęsi panie, to te wielkie szarki, dużo ich tam siedzi, a na warcie czatują cztery«. Zdjęli kaptury jastrzębiom i pomimo grzęskiej ziemi cwałem ruszyli na stado. Ptaki przemoczone i najedzone ziarnem i wstążeczkami oziminy straszliwie gęgać poczęły, gdyż nielada zadanie w tym powietrzu zerwać się i szybko ulecieć, nareszcie stado się zrywa, podnosi trzepocąc przemoczonymi skrzydłami. Jastrzębie słysząc ten gwar, nie czekają na znany rozkaz: bij — bij, puszczają się i każdy w tej chwili jest już nad swą gęsią, wachluje, trzepocze się, góruje, coraz dłużej nogi wyciąga, szpony wypina i nareszcie w grzbiet je wbija i gdyby z balonem ku ziemi zwolna się spuszcza, a usiadłszy na swjej ofiarze, hakiem swego dzioba głowę rozбивa.

Odebrali ptakom i przytroczyli gęsi, jastrzębie na berłach osadzili i pojechali dalej bez hałasu ku pagórkowi nieco oddalonemu; mgła urąga południowym godzinom, gęścieje, osiada, usiłuje z dnia noc uczynić. Wtém szelest przed nimi, zrywają się dropie i giną wśród mgły — zakapturowanych jastrzębi już puścić nie można było. Zmarszczył czoło młodzian i wyjąknął: »psi to czas«, nasunął czapkę na uszy i pacholęciu szepnął: »trzeba do domu jechać«. Jancio nie w ciemę bity, woli ze sokołem na koniu, jak przy piecu, z pokorą więc odpowiada: »Panie, one nigdzie nie polecą, tak zmoczone, my ich nie widzimy, a one nas, dropie już siedzą na wzgórku pod lasem na pszenicy«. I tak było rzeczywiście, jak Jancio mówił. Podjechali pod dębowy las i spuszczała się pszenicznym łanem, gdy pacholę już zdejmując kaptur i wskazuje swemu panu, aby to samo uczynił, — usłuchał, wszakże ręką wskazuje, że ptaków nie widzi. Niebawem mimika ustała, bo w oddaleniu cień olbrzymi z łoskotem się wznosi. Tam dwa dropie wachlują skrzydłami z hałasem, tu słysząc: bij, bij ptaku; jastrzębie w sekundzie są nad dropiami, lecz mądre ptaki, obydwaj nad jednym górują, wznoszą się i biją, towarzysząc dropiowi w śmiertelnej podróży. To jeden, to drugi wpina szpony w grzbiet ptaka, lecz to praca daremna, pierze gdyby pancerz szponów do ciała nie przypuszcza, minuta za minutą mija, polowanie się szybko posuwa, drop pomimo razów i ciosów wznosi się coraz wyżej, niebawem z widowni jeźdźców zniknie. Groźne niebezpieczeństwo, hańba dla myśliwców. Młodzieniec na spienionym koniu pod dro-

piem cwałuje, ochrypniętym głosem żałośnie woła: bij, bij Ćwiku! Ćwik wysilenia rycerskie czyni, lecz pokonać nie może silnego ptaka. Kubuś już wielce zmęczony, a walką rozwścieklony, koła szybkie czyni, nurkuje, szpony wbija w słabizny dropia. Chwilę ptak w powietrzu stanął, złożył skrzydła, lecz to niedługo trwało, już uderzeniem lotki uwolnił od szpon swe ciało i dąży naprzód: Ćwik korzysta z krótkiego przystanku, zniża się ponad dropia, staje w powietrzu, trzepocze, a puszczając się pędem, uderza dzióbem w głowę, wznosi się i znowu góruje nad ptakiem. Drop się zachwiał, szyję obwiesił, skrzydła stulił, zwolna zniża się ku ziemi, górowany jastrzębiami i spuszcza się pod tym zakrwawionym baldachimem. Usiadł na ziemi, zatoczył się, kolana zgiął i przycupnął, jastrzębie rozżarte siadają na niego, dzióbią, szarpią szponami, lecz to za słabe środki na śmierć starego dropia. Zesiadł młodzieniec, wyjął pręt żelazny z cholewy i po głowie uderzył, — tak zginął drop.

Wichry rozpuszczone, jak oddechy czartów trzęsą światem, obdzierają liście zwiędłe, posuwają się z pniami drzew, tłuką niemiłosiernie wierzchołki, łamią konary, druzgoczą suchary, — zbierają kłęby liści i kurzawy niosą, gdyby czarne chmury gdzieś w świat daleki. Nie dosyć im, jeszcze syczą, jęczą i lamentują; zdaje nam się, że wszystkie pokutujące dusze z czyśca porwane na męczeństwo, w tych orkanach osiadły i straszą żyjących. Co żyje chowa się i ukrywa, nikt nie ma odwagi stawić czoła rozhukanemu elementowi. Dmie dzień cały, noc go nie wstrzymuje, mróz nie ziębi, pędzi

i miota, a zawsze w miejscu; zdawałoby się, że w jednej chwili zaleci na drugą półkulę ziemi, a on tu w miejscu, gdyby przykuty motłoszy, co napotka. Mija druga doba, a orkan niezmordowany trzęsie i trzęsie przedmiotami, rozjuszony, że nie zdruzgotał wszystkich, nareszcie ku wieczorowi spoczął i zasnął. W powietrzu zawitał płatek śniegu, koło niego śnieżna gwiazdeczka pada, za nią gęste krupki, nareszcie śnieżną mączką sypią z góry, gdyby z olbrzymiego pytla i wicher śniegiem przysypyany już się podnieść nie może. Ziemia się broni, białej koszulki przyjąć jeszcze nie chce, otrząsa się i szarym swym kolorem walczy przeciw bieli, lecz niedługo to trwa, śnieg się krupi w bryłki, lepi na trawkach, liście nakrywa i niebawem lodowatym prześcieradłem nakrywa przyrodę, tym całunem grobowym na sześć miesięcy zimowych. Niejedna jeszcze zielona traweczka pełna życia, niejeden barwisty kwiatusek, krocie stokrótek, roślinki z niewysypanem nasieniem, aksamitne listki świeże, w lodowatym śniegu żywcem pochowane zostały.

Młodzieniec nasz rano wyszedł na podwórze, spojrział na świat biały i mruknął: »Dziś szarak się nie ruszał, on przysypyany«. Jancio, gdyby cień swego pana, już za nim stał i potakiwał, dodając: »To jutro będą łowy na ponowie, biada zajączkom«.

Rano drugiego dnia nakryto płótnianemi weretami konie, wzięto jastrzębia Ćwika i ruszono na role śniegiem zarównane. Niedaleko ujechali, a już znać cztery tropy, dwie nóżki w parze, a dwie stawiane przed siebie; widać daleko ścieżkę zwierza, pod pagórkiem nad

rowem rzucił raz, wrócił w trop i wielkim skokiem skoczył ku rowowi. Czytać można było jak w książce i wiedzieć, gdzie zajączek chodził w nocy, a gdzie w dzień spoczywa. Nadjechali nad rów, objechali tropy, wypatrzili szaraka zapchanego w zaspię śniegu. Stanęli naprzeciwko siebie, podrzucili Ćwika, ten okrążył miejscowość, zatrzepotał i powrócił na berło oznajmiając, że nic nie widzi. Młodzieniec zawołał: »Janciu, wypędź go«. Pacholę zsiadło z konia, przebrnęło do zadętego rowu, a zobaczywszy mały otworek parujący, poczęło od brzegu załamywać śnieg. Niebawem jak z procy, wysuwa się lekki zajączek, a nie zważając na otaczających, po skoku przez rów wyciąga tylne skoki zasiedziały, otrząsł się i rusza pod pagórek nie tracąc już czasu. Ćwik puszczonego za nim, kilka razy nad nim przelatuje, niemal lotkami go rusza i towarzyszy biegowi, trzepocząc nad zającem. Biedne szaraczysko, istny *Lepus timidus*, traci przytomność, przysiadła, znowu się zrywa, to w bok skacze, to znowu wraca; widocznie przytomność już traci, nareszcie daje kominka w górę i wtłacza się w śnieg; — Ćwik rozłożywszy skrzydła, wspaniale się spuszcza, wypreżą nogi, z impetem wbija w cumber szpony, a usiadłszy na zającach, wali w głowę dziobem, gdyby młotem. Zginął zajączek.

Wiatr mroził twarze, ciemnej maści konie wydawały się siwemi, tak szron był je obsiadł, a jeźdźcy pomimo pogoni ćwikłowej barwy mieli twarze. Odcięto głowę zajączkowi i dano Ćwikowi, a ten nie zważając na mróz i wiatr, jak prawdziwy smakosz, do ostatniej bryłki wydobywał mózg z głowy swej ofiary. Nareszcie

Ćwik powrócił na berło i jadą dalej, kopiąc się po śniegu, jadą i jadą, a tropowych hieroglifów na śniegu spostrzedz nigdzie nie można. Oczywiście nie każdy zając téj nocy rusza i niejeden w dobrym bycie dał się przysypać. Nadjechali koło krzaków wikliny napół przez bydlę zjedzonych. Stał Jancio, długo pod krzak patrzył i kiwnął głową, młodzieniec za wskazującą rękę rzucił okiem i zobaczył zająca na pół odkrytego między korzeniami siedzącego. Objechał do koła, Ćwik bez kaptura już najeżył pierze, bystrym wzrokiem rekognoskuje miejscowość, lecz po niespokojnym oku jego widać, że nic spostrzedz nie może. Podrzuciono ptaka, wzniósł się on w powietrze, kilkakrotnie okrążył krzaki, nareszcie zachwiał się, stanął, zatrzepotał i pływać począł nad krzakiem, widocznie nie mógł wiać zająca wśród gałęzi i korzeni. Jancio zsiadł, przybliżył się do martwego ze strachu zająca, machnął ręką, świsnął, lecz biedne zwierzę steroryzowane ani ruszyć się nie chciało. Na skinienie swego pana pacholę wyjęło pręt żelazny, uderzyło w głowę i szaraczek na bok się przewrócił nieżywy. Spojrzeli myśliwi jeden na drugiego, a zobaczywszy na twarzy i uszach białe plamy, przyskoczyli do siebie i śniegiem mokrym trzęć poczęli; po téj operacyi haustem wódki ciepłika dodali, a dostarczenie ostatniego stopnia niezbędnego ciepła zostawili koniom zmarzniętym, cwałującym ku wiejskiemu zaciszu.

Zakończyć trzeba obrazki łowów, dusza bowiem myśliwska zapełniona wspomnieniami, chciwa polowania, gorączkowo oczekująca pory wprowadzającej w krzaki i bory myśliwca, gwarzyłaby dalej z czytelnikami, gdyby

z towarzyszami swymi; snują jej się w pamięci dzieje dawnych czasów, przebyte niebezpieczeństwa, śmierć walecznych psów, doskonałość broni, przytomność umysłu, a wytrwałość zahartowanego ciała, przypominają się niedźwiedzie kroczące na dwóch łapach i odyńce pędzące z wyostrzonymi kłami, gdyby rycerze w szrankach z dzidami, te rozumne, odważne i wytrwałe konie, przypominają się torby objuczone zwierzyną, rwiące ramię, przypominają się nareszcie i te błędne pogonie zaskoczone ciemnicami nocy o chłodzie i głodzie. A zawsze w wspomnieniach woń użytej rozkoszy.

Czy lepiej teraz młodzież zaprawia się do życia i czynu? W ciepłych bucikach z cachenez na szyi, przesuwają się z ulicy na ulicę zasłaniając usta ręką, by mroźne powietrze nie zajrzało do płuc, lub też w pantoflach i w szlafroku siedzi z piórem w ręku i kręśli sążniste elaboraty systematów, mających odrodzić i uszczęśliwić społeczeństwo. Część inna w domu lub kantorze wlepi wzrok w zestawione cyfry, liczy i rachuje, jak można zdobyć milionowy majątek zręcznością, przewidywaniem, zamówionem sobie szczęściem. Są i tacy, co leżąc na kanapach z cygarem w ustach, przerzucają stosy dzienników, szukając w nich jak w aptece dla narodu trunku; znam i takich, którzy wykształcili swą wymowę i gdyby organy grzmią dzień cały wykładem teoryj, mrzonek i złudzeń, despotycznie żądając zaufania i powolności.

Koń wierzchowy przemienił się w lokomotywę, jeździec w dzokiejską małpę, wielu wychowuje konie, lecz na nich wyłącznie jeżdżą stajenni chłopcy; polo-

wanie przemieniło się w maszynę wyciskającą zwierzynę, myśliwiec w eleganta stroniącego od zimna, wiatrów, trudów i niebezpieczeństw. Wszyscy dążą do miast, zbijają się w stada, czy to w poczuciu słabości swjej, czyli téż aby spólnemi siłami wyzyskiwać zamożniejszych lub gnębić słabszych? Niepokój, niezadowolenie, chorobliwe oczekiwanie zmian nastąpić mogących, obojętność dla drugich, miłość namiętna dla siebie, gdyby słabiej i ograniczonej matki, psującej nad miarę swe dziecko, dogadzając mu nawet w złém, niedowierzanie wzajemne, oto cechy naszego społeczeństwa. Stowarzyszają się, wywieszając na chorągwi świetny program, bankrutują, lub dogorywają w bezczynności. Co dawne, patentowane na niedołączne i niestosowne; a nowe mgliste, złudne, embriony bez życia i kształtów. Gonią za błędnymi ognikami, łapią spadające gwiazdy, wierzą w wieczne trwanie światła barwistej tęczy, z mrzonki wpadają w mrzonkę, z złudzenia w złudzenie, żyją śmiejącami się snami, karmią marzeniami, gonią i spieszą się, nikt nie ma czasu, a w skutkach bezpożytek. Jak ze starego zamku cegła po cegle wyłamuje się i upada, tak majątek po majątku przechodzi w obce ręce, lub się rozpada na części; a nowożytnie fortuny, to zamki na wywiewnych piaskach, przewracanych giedowemi burzami.

I tak oczekiwanie zmian, urzeczywistnienia mrzonek, wprowadzenie teoryj w życie, reorganizacye ustawiczne, odkrywanie źródeł mających uszczęśliwić ludzkość: oto prace zajmujące dziś czas naszemu wykształconemu społeczeństwu; ubożą rodziny, a na kręte drogi

kierują umysły. Zaiste to niepolskie prace, wykształciliśmy się na teoryach zachodu, zatarli tradycye, ubrali się w hałaty i jarmułki i w niebogłose wołamy, że my Polacy, naród jednolity, mężny, pełen ofiarności, zasługujący powrócić w pewne granice swjej ojczyzny. Jak staropniowy las z olbrzymich swych drzew się огоłaca, tak wieś wyludnia się z ludzi myśli, pracy, cnoty i przodkowania. Proceder wolny lecz nieustający, proces to nakształt odbytego w Indyach, gdzie Anglik wypierał Indyanina i sam osiadł na zdobytéj ziemi. U nas zamożniejszy żyd zastępuje szlachcica, uboższy chłopka; pierwszy kupuje dobra, drugi grunt włościański, lecz proces postępuje, a apelacyi nie będzie. Cóż dziwnego? Praca wytrwała, systematyczna, jest nam wstrętna, stronimy od indywidualnej pracy, dążąc do wspólnej. Wieś chłodna, nudna bez towarzystwa. Niema troatoarów, teatrów, koncertów, niema pola do popisu dla strojów i złośliwego dowcipu, niema zjazdów, stowarzyszeń do wykładania wymarzonych teoryj. Praca gospodarcza za ciężka i jałowa, téra i pleśnią okrywa młodzieńca, stosunki nieznośne, nieuczciwość rozpowszechniona, klimat zabijający nasze nad miarę wykształcone organizmy, książki za wiele kosztują, a i te trzeba rozcinać — a to już praca nad siły! Cóż dziwnego, że ten rolnik, szlachcic z antenatów, spółdzony na skibie, porzuca rolę, opuszcza odziedziczony dom, wydzierżawia majątek, przeznacza go na zniszczenie, przemienia się w gołębiarza i leci na giełdę spróbować swych tępych szponów. Stracił pierze, wyrwali mu niejedną lotkę, nawet przez wrony i gawrony ścigany,

skubany, wraca zbiedzony i zawstydzony, radby powrócić do ojczystego gniazda, lecz tam siedzi już zakorzeniony zastępca, a długi, istne widma wyganiają go niepowrotnie z zacisza domowego!

Cóż dziwnego, że żyd na początek zadzierżawia opas wołów, później gorzelnię, dalej jeden i drugi folwareczek, aż nareszcie zadzierżawia cały majątek, płaci regularnie raty, zaliczki na wysokie procenta daje, a po kilkunastu latach dobra zakupuje. Chórem krzyczą: łajdak, złodziej żyd, a to głupi szlachcic! Nie wiem, czy szlachcic głupi, lecz żyd ani łajdak, ani złodziej; drugi pracował, oszczędzał, składał, fruktyfikował zarobiony pieniądź; pierwszy bezmyślnie wydawał, marnował, a co gorsze próżnował i nigdy się nie rachował. Szlachcic poszedł na malkontenta lub Verwaltungsrata, a żyd osiadł na jego majątku, sprzedał machoniowe i palisandrowe meble adwokatowi, obrazy ze szkoły włoskiej żydowi bankierowi i kupił wołów stado. Jest panem w całym znaczeniu tego wyrazu i nie straci majątku, bądźcie spokojni!

Badajmy tylko ten proces zdobycia nowój Jerozolimy, a przekonamy się o rzeczywistości. Żydzi, jak wiadomo, wstępują w związki małżeńskie w młodym nader wieku. Cóż dziwnego, że się nad miarę mnożą? Ona od roku 14 swego życia, co dziewięć miesięcy, w wigilią szabas, rodzi dziecko w normalnych latach, w dobrych czasach i dwoje, — rodzi tak do roku 40 swego życia. Żydziatka wychowane na aptecznym wikcie, wszczepioną mają zasadę oszczędności, napojone przekonaniem o potrzebie zarobku, spekulacji i handlu,

już w majtkach z rozporkiem są krezusami *in spe*. Żydziatko płatające nożętami już sprzedaje podartą swą koszulinę łachmanami handlującemu żydkowi, już patrzy, szuka, czy czego znaleźć nie może. Darowany pieniążek od ojca w róg chustki zawiązuje i prędkiej odda życie, niż swój skarb; z nim w dzień i w nocy obcuje, bo to pieniądź na wabika, on przynosi szczęści. Nareszcie zamożniejszemu go pożyczka, odbiera i znowu go pożyczka i tak dochodzi swój finansowej pełnoletności; wtedy już chłopku pożyczka, handluje kurką i gąską, niebawem cielęciem i krówką. Później chłopka z gruntu ruguje i każe sobie ziemię obrabiać — i niewolnik nowożytny za łaskę uważać musi, jeżeli go zostawi w chacie i na ogrodzie. Za jednym kawałkiem idzie drugi, trzeci i t. d., przychował bydło, zaprzęgi ma dostateczne, idzie więc na dzierżawę, a gdy szron wieku pobilił włosy i brodę: tcsamo żydziatko, co sprzedawało koszulinę podartą handlującemu łachmanami, siedzi w pałacu i cieszy się, że syn adwokatem z brelokami przy grubym złotym łańcuchu, wykładający teorie w Radzie państwa w Wiedniu, że tylko żydzi mogą utrwalić potęgę Austrii, bo mają *Sinn, Geist und Witz*.

Dziennikarze, publicyści, szlachta i mieszczenie, pociskami rzucają na żydów, wołając: »Oto wydrwigrasze, złodzieje, pijawki«. Lecz to nasza wyłączna wina — nie ich, że dajemy sobie wydrwiwać majątki, kraść pieniądze, że dozwalamy ssać najżywotniejsze nasze soki. Ustupujemy dobrowolnie z pola i żydom zostawiamy nasze warsztaty, a oni zdobywają piędź po

piędzy ziemię pracą, oszczędnością i wytrwałością, — a my nawet téj ziemi wcale nie bronimy, przeciwnie zdobycie jęj ułatwiamy. Potomność nie potępi żydów, lecz tych, którzy im oddali spuściznę po swych ojcach, przez wstręt do wskazanej tradycją pracy, żeśmy im lud wiejski na wychowanie oddali. Nauczyliśmy się od żydów nieco rachować, spekulować, handlować papierami i grać na giełdzie, zaprzyjaźniliśmy się z nimi jak Pilad z Orestem. Nie nauczyliśmy się od nich wytrwałości, pracy, oszczędności i rachunkowości, nie nauczyliśmy się wychowania dzieci w kierunku pożytku i praktyczności. Gramy często po miastach naszych i zagranicznych rolę żydów, lecz mizerni aktorowie wyśmiewani bywamy, nie przejęliśmy się bowiem duchem pożyteczności. Wszędzie dobro znaleźć można, byle nie leniwie szukać i bez uprzedzenia; wzory brać możemy z cnót małżeńskich i rodzinnych żydów, z oszczędności, rachunkowości i pracowitości, a na końcu wzór téj niezmordowanej pracy, z której zarobek nieużywany przez rodziców, bywa dzieciom przekazywany. W tym samym stosunku następujące generacje wzbogacają się, jak nasze ubożęją i to jest istną karą Niebios, bo nędza i niedostatek prowadzą do bezwładności, a często do zbrodni!

Czy lepiej teraz młodzieży natłoczonej po miastach w związkach z kulisowemi boginiami, z kuponami wzbudzającemi gorączkowy niepokój, z blademi licami i porzedniałemi włosami, z dolegliwościami ciała, z potrzebą wód mineralnych i apteczek homeopatycznych, — bez zatrudnienia i ubarwionego życia. Zatraciliśmy rozrywki

i rozkosze wiejskie, a natomiast pozwoliliśmy miazmatom ogarnąć nasze jestestwa.

Nie znacie już błogich wrażeń wieśniaków radujących dusze, odświeżających umysł, wznoszących uczucie ku wyższym myślom. Was już w mieście nie cieszy i wami nie wzrusza wiosna, gdy słońce promieniami swemi śnieg chciwie wypija, a ciepły wietrzyk polizuje złodowaciałe zwierciadła, gdy trawka świdruje przez śnieżne prześcieradło, gdy pierwiosnek zdziwiony na śniegu się rozsiada; gdy pierwsze motyle swemi klejnotami przyrodę barwią, gdy skowronek nuci wznosząc się pod błękit, gdy fletowemi tonami drozdy melodyjnie nam ucho pieszczą, gdy wieczorem chrapaniem słomka przy zachodzie słońca myśliwego do lasu ciągnie.

Wy nie znacie już uciech rolnika, gdy ziemia zrzuca płaszcz zimowy, świecącą szatą się nakrywa, do słońca się mizdrzy, prosi o pracę, obiecuje nagrodę i dobra matka swe skarby otwiera pracowitemu człowiekowi.

Pamiętacie obraz złożonych łąnów, zielonych haftowanych kobierców, barwistych łąk i woniejących borów. Wam to jeszcze gdzieś tam stary sługa opowiada, jak-to panicze ongi na bystrych koniach uganiłi, pokrzepiającą wódkę zniwiarzom donosili, ze siewaczami wspólną modlitwę odmawiali: »O Boże, błogostaw to ziarno, które rzucamy w ziemię, aby płodne było, wydało obfite plony sługom Twoim, a my te dary zebrać i z nich korzystać mogli«. Opowiadają wam przecie, jak przy obrzynkach i tłokach na murawie przed domem młodzież wspólnie się bawiła, a gospodarze ustawieni w półkole, z uśmiechem zadowolenia

ten finał żniwa przyjmowali. Jak przynoszono snopy z wiszącymi kłosami, przyprowadzano ustrojone bydło i barany, a zawsze towarzyszyła myśl w wyrazach: Błogosław nam Boże! — Jak ubogim wianki z kłosów rozdawali, — najpracowitsze żniwiarki wstążkami i barwistemi spodnicami wynagradzali, jak dziedzic na dobranoc kielich wina wychylił na zdrowie gospodarzy i jak wszyscy z myślą wdzięczną rozchodzili się.

Opowiadają wam, jak panicze snopy kaczek, krzyków, dubeltów znosili i w stosy układali, później wiązki przepiórek, kuropatw, cietrzewi i chróścieli? Jak na przewróconą ziemię z chartami jeździli, a jak las się trząsł od grzmiących głosów psiarni, którym trąbka, gdyby akordami wtórowała. A ten zachwycający obraz powrotu z łowów? Naprzód na bystrych koniach jadą myśliwi, za nimi wóz wołmi zaprzęgnięty, naładowany zwierzyzną, tuż za nim na sforach po dwa spięte ogary, lub na drażkach odważne kundysy, za niemi na koniu dojeżdżacze, a psiarczyki zamykają orszak. Stają przed domem, układają zwierzynę, sztuka koło sztuki, według wieku i wartości, szeregują się na koniach i w trąbki uderzają. Na ten głos wychodzi matka i siostry, wódeczką łowczych częstują, radując się z powrotu lubych sercu istot. Wieczór biesiada wesoła, gwarno i swobodno, podpijali sobie wprawdzie, lecz tam złego nie było, bo miłość bliźniego, szlachetna i w pełni gościnność, jadu do grona nie dopuszczały. Do północy tańce, a przy wschodzie słońca na koń i do kniei. Dziś myśliwy po łowach szlafrocziem odział zmęczone i przeziębione ciało, nóżki ubrał w pantofle, przytulił do ka-

fli pieca, zapalił cygaro i drzémie, — nie zważając na towarzystwo!

A ten dwór z elastycznymi ścianami, mogący wyżywić i zabezpieczyć rodziny przyszłość, utrzymać liczną służbę i niezliczoną psiarnię, ten dwór dziś cichy jak pustkowie, zamieszkały przez dzierżawcę żyda, nie chcącego nic słyszeć, *nur Geschäft!*

Ludzie garną się do ludzi, lecz styczność ich nie polepsza, nie zadawalnia i nie wiąże; na zewnątrz się łączą, — w duszy od siebie stronią, interes ich chwilowo spójnią wiąże, lecz uczucia tam niema, chłód wieje, — jadu zapas wielki. Może być, że się mylę, i daj Boże, aby moje myśli były *fata morgana*, lecz myślę, że miasto psuje, a wieś naprawia człowieka myślącego z odrobiną nawet serca. Wobec olbrzymiej przyrody i jej skarbów, wobec tej doskonałości niewymagającej żadnej poprawki, wobec rządów niepotrzebujących konstytucji, parlamentów, rzeczników i krzykaczy: w tym świecie dla każdego miejsce, jest tam równouprawnienie z tém zastrzeżeniem, że silny przed słabym, jak u nas rozumny przed głupim — i z tém drugim, że pożyteczni mnożą się licznie, a szkodliwi słabo, że tylko zdrowe organizmy do prokreacji dopuszczone, a silne stworzenia do przodkowania przeznaczone. Na łąkach zbożem okrytych, na wonnych barwistych łąkach, w głębokich lasach, wobec skalistych garbów przyrody i obrazów na widnokręgu okiem nieobjętych, człowiek mimowolnie uczuciem ogarnięty, myśl dobrą i kochającą snuje na pożytek, a nie na szkodę społeczeństwa!

Za przykładem zamożnego obywatelstwa chłopiek oddaje ziemię żydkowi i jak pierwszy dobrowolnie przyjmuje niewolę żydowską, tak drugi poddaje się nowożytnej pańszczyźnie. Proces stronienia od wsi i rolnictwa nieustający, dziwnie wzmaga nieukontentowanie ogólne. Z każdym rokiem mniej rolników na ziemi naszej, mniej zdolnych i uczciwych urzędników i sług gospodarskich, zdawałoby się, że nas odrzuciło od ziemi ojczystej. Praktykanta do gospodarstwa szukać trzeba, gatunek pisarzy prowentowych wyginał, już nikt nie posiada poczciwego i spokojnego gumienego, z antenatów karbowego, znikli z dworów w służbie posiwieci służy, owe mamki, niańki, piastunki i praczki, dziwnie łączący dwór z gminą. Wszyscy porzucają wieś a garną się do miast, gdyby do ziemi obiecaniej.

W zamian kandydatów bez liku: do kantorów, magazynów, sklepów, aptek, do szachrajek i przedsiębiorstw, do kolei żelaznych i fabryk; jak oficerów pruskich bez liku czeka na awans, tak u nas czekają na posady w miastach i przy kolejach, a ziemia cierpi z braku wiedzy, pracy i uprawy.

W dzienniku ekonomicznym Fryderyk Passy umieścił w r. 1874 znakomity artykuł, stosujący się niemal więcej do nas w Galicyi, jak do francuskich posiadaczy pod tytułem: *«Absentéisme»* czyli opuszczanie swych majątków i wydzierżawianie takowych. Znakomity ekonomista mówi: *«Absentéisme* potępiony przez wszystkich ekonomistów, bo jest anormalnem i zbrodniczem oddzieleniem człowieka od ziemi i marnowaniem swych bogactw i sił narodowych. Właściciel oddaje ziemi, co

jéj zabiera, pracą, pieczę i kulturą ją wzbogaca i podnosi jéj wartość, stara się o drogi i rowy, zakłada osady, sieje lasy, stawia trwałe budynki dla siebie i potomstwa; dzierżawca zaś wyzyskuje ziemię, niepewny jutra, nie dba o przyszłość majątku. Absenteizm bywa zawsze źródłem niezgody pomiędzy panem a ludem. Wyrobnik widzi w obecnym obywatelu narzędzie pracy i umysłowego postępu, — w nieobecnym widzi rabunek przychodów ziemi, przeżywanych wśród obcych i na ich korzyść. Absenteizm sprowadza pod względem moralnym wzgardę ludu dla większych posiadaczy, rodzi przekonanie o niesprawiedliwej eksploatacji człowieka, wpływa szkodliwie na pojęcia o zasadzie prawa własności, będącego osią i podwaliną społecznego ładu i dobrobytu. Pod względem materyalnym sprowadza bogactwo do miast, *a ubóstwo, ciemnotę i zacofanie do wiosek»*.

Święte słowa znakomitego autora, gdyby dla nas napisane i tak na czasie. Niech kto co do wykształcenia umysłowego porówna gminy z odwiecznie zamieszkałymi dworami, z gminami bez dworów, lub pod dzierżawcami, a dopiero porówna z posesorami obco-krajowymi, a przekona się o prawdzie głębokiej myśli francuskiego ekonomisty, dodając do porównania stan bytu materyalnego jednych i drugich. Dziś stanowisko dworu na wsi donioślejszego znaczenia, jak było za naszych ojców, przy zgubnych wpływach duchowych apostołów i innowierców, przy rozlicznych działaniach wi-chrzycieli i komunistów, żyjących wyłącznie w wzburzonych mętach społeczeństwa. Pomimo, że zaszczerpioną nieufność do dworów w części jeszcze zachowuje lud,

wszakże dworu waga jest znacząca i wpływ nielada. *Audiat et altera pars*, to rozumić i praktykuje chłop, a w szczególności wzrokiem swego prostego rozumu patrzy, bada i sądzi. Postęp znaczny antinarodowej agitacji, w większej części śmiało przypisać możemy absenteizmowi, przy obojętności dzierżawców i bierném stanowisku, jakie zajmują w sprawach krajowych. Ci co porzucili ziemię ojców swych, porzucili życie i obywatelstwo wiejskie, rzucają lud wiejski na pastwę różnorodnym drapieżnym ptakom. Na wsi, jak w mieście, zamieszkują gołębiarze drapieżne i szkodliwe, odważne i małoduszne, lecz równie dokuczliwe i narażające nas na dotkliwe straty, niepokoje i zgryzoty. Dziwne mają ubarwienie, niby to sępy lub kondory, a przecie gołębiarze, przedstawiają się jak w sutannach ze swą liczną rodziną, — inne do tych podobne, lecz brodate, bywają złożone na szyi i na karku, również i niebarwiste w skromnym stroju, dosyć ordynaryjne ptaki, zaś od lat kilku, co chwilę przylatują z zagranicy gołębiarze to na zwiaady, to po łup. Jedne ciche, drugie hałaśliwe, lecz każdy zostawia po sobie smutne ślady, a nikt im nie broni latać, szperać, pomocników szukać, niepokoić i rabować.

Poznajcie czytelnicy naszych gołębiarzy, wyrwijcie im lotki, przycinajcie szpony, a przedewszystkiem dawajcie im pojętę, bo to ptaki głodne, dające się oswoić wytrwałą, spokojną i pomocniczą pracą. W miarę ubytku gołębiarzy, pokój wracać będzie do naszego społeczeństwa, a przy zupełnej swobodzie chęć do pracy powróci i odraza nas ogarnie do loteryjnych spekulacji, a tego Wam życzy autor.

Is J. Elişono knygu

Nr.

222653/3

